

Debrah Morris

Ogród po deszczu

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ellin Bennett lubiła ryzyko, lecz nie do tego stopnia, by narażać życie i pędzić po górskiej drodze z najwyższą dozwoloną szybkością. Szczególnie gdy podróżowała z córką. Wjeżdżając na wąską, krętą szosę, zacisnęła palce na kierownicy i zwolniła. Naprawdę nie zawsze warto ryzykować.

Zauważyła kolejny znak uprzedzający o zwierzętach na drodze. Jak go rozumieć? Czy to ostrzeżenie przed dzikimi bestiami, czy zaproszenie, by podziwiać miejscową faunę? Należy mieć się na baczności, bo w każdej chwili przed maskę może wyskoczyć sarna o wielkich oczach? Zastanawiała się, jak po jedenastu latach w Chicago przyzwyczai się do życia na płaskowyżu Ozark.

- Mamusiu! Święty Mikołaj nie będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

- Nie martw się, Lizzie. On na pewno cię znajdzie. Ellin spojrzała w lusterko i ciepło się uśmiechnęła. Jej czteroletnia jedynaczka miała różowy płaszczyk, diadem z kryształu górskiego i obrażoną minę.

- Mówiłam, że dziś nie jestem Lizzie.

- Och, najmocniej przepraszam Waszą Wysokość. Wybacz mi, królewno.

Pomyliła się już czwarty raz, więc musiała pokornie przeprosić za brak dworskich manier.

- Jak Święty Mikołaj mnie znajdzie? - martwiło się dziecko. - Przecież nie wie, że przeprowadziłyśmy się do babci.

- On wie wszystko.

Ellin nie miała wesołego, świątecznego nastroju, ale nie chciała psuć córce radości.

- Dom babci nie ma komina...

Lizzie była z natury bardzo pogodna, ale po przeprowadzce straciła poczucie bezpieczeństwa i coraz bardziej martwiła się nadchodzącymi świętami.

- Mikołajowi to nie przeszkodzi.

- Nie zobaczy komina, nie będzie wiedział, jak wejść do domu i gdzie zostawić prezenty.

- Poradzi sobie, znajdzie jakiś sposób - pocieszyła ją matka.

- Kiedy dostaniemy choinkę?

- Już niedługo, kochanie. Chwileczkę. - Nieufnie popatrzyła na krętą drogę i głęboki rów obok. - Teraz muszę bardzo uważać.

- Dzisiaj? - drążyła Lizzie.

- Może.

- Nie mów „może”. - Dziewczynka wykrzywiła buzię w podkówkę. - Powiedz, że na pewno dzisiaj.

- Zobaczymy...

Wymijająca odpowiedź, zalecana w poradnikach dla rodziców, zwykle przynosiła pożądany skutek. Lecz nie dzisiaj.

- Święty Mikołaj będzie zły, że nie mamy choinki. Pogniewa się - oświadczyła Lizzie z przekonaniem.

- Och, nie pogniewa się. Szczególnie na królową. Dobra wróżka mu nie pozwoli.

Ellin usłyszała podejrzany dźwięk, więc zerknęła na siedzenie obok. Szpic Pudgy leniwie gryzł rączkę jej eleganckiej torebki.

- Wara od tego! Nie wolno!

Zabrała torebkę, z niesmakiem usunęła z niej kłęb sierści i wyrzuciła za okno. Wiekowy pies jej babci już stracił kilka zębów i zaczynał łysieć.

Pani Ida Faye Boswell stęskniła się za swym nerwowym ulubieńcem i poprosiła wnuczkę, by zabrała go na świąteczne

przyjęcie w Shady Acres. Natomiast pani Polk, kierowniczka ośrodka, głęboko wierzyła w zbawienny wpływ zwierząt i była przekonana, że widok psa dobrze zrobi osiemdziesięcioletniej rekonwalescentce po operacji biodra.

- Mamusiu, gdzie jest anioł? Ten, który zawsze wisi na czubku choinki.

- W kartonie w garażu.

- Lampki też tam są? I bałwanki?

- Tak, Perełko.

Ellin z bólem serca rozstała się z domem nad jeziorem Michigan, ale dla dziecka przeprowadzka była prawdziwą tragedią. Podczas wynoszenia mebli Lizzie płakała rzewnymi łzami. Uspokoiła się nieco, gdy matka obiecała, że zabierze do Arkansas pudło ulubionych ozdób.

- Pokażesz mi po powrocie do domu?

- Tak.

Ellin robiła dobrą minę do złej gry, lecz też mocno przeżyła ostatnie wydarzenia. Jej nowa, tymczasowa praca była jak na ironię spełnieniem nieprzemyślanego życzenia, by uciec na kraj świata.

Marzyła o dziennikarstwie już w liceum, gdzie redagowała szkolną gazetkę. Jako studentka przysięgła sobie, że przed ukończeniem trzydziestu pięciu lat dojdzie do stanowiska redaktora naczelnego. Temu dążeniu poświęciła wszystkie siły, walczyła zaciekle i zdystansowała słabszych przeciwników. Zwolniła nieco tempo, aby wyjść za mąż, urodzić dziecko i przeprowadzić rozwód, lecz nawet wtedy myślała o karierze.

Wytrwale wspinała się po szczeblach zawodowej drabiny i przez ostatnie pół roku pracowała jako zastępca redaktora naczelnego znanego dziennika w Chicago. A potem nagle wszystko runęło... Musiała wydać gazetę w terminie, a jednocześnie przygotować Lizzie do pierwszego występu, z

pośpiechu naruszyła podstawową zasadę dziennikarską i przyjęła do druku artykuł, którego treści nie sprawdziła. A przecież przed popełnieniem takiego błędu przestrzega się studentów pierwszego roku!

Z zamyślenia wyrwało ją pytanie:

- Mamusiu, Rudolph to pan czy pani?

- Pani - odparła, nie bardzo wiedząc, o co chodzi.

- A Olive?

- Co Olive?

- Nie pamiętasz piosenki? - Lizzie zanuciła, trochę fałszując. - Olive jest drugim reniferem Świętego Mikołaja. To on czy ona?

- Wszystkie renifery są rodzaju żeńskiego - powiedziała Ellin bez zastanowienia.

Myśłami była w Chicago. Wzięła na siebie całą odpowiedzialność za pomyłkę, ale jednocześnie tłumaczyła zwierzchnikom, że to pierwsze potknięcie w długoletniej praktyce. Jej argumenty nikogo nie przekonały i Ellin straciła pracę. W pierwszej chwili miała ochotę zmienić nazwisko i uciec, gdzie pieprz rośnie.

- Czemu żona Świętego Mikołaja nie pomaga mu rozwozić prezentów?

- Bo nie chce odbierać mężowi zasług.

W duchu dodała, że inteligentna kobieta woli siedzieć w ciepłym domu, niż marznąć w saniach pędzących naokoło globu. Zaraz jednak przywołała się do porządku i zganiała się w duchu za cynizm. Trzeba wypić piwo, którego się nawarzyło. Drabina zachwiała się, lecz to wcale nie znaczy, że wszystkie marzenia o karierze legły w gruzach. Jeszcze zostało trochę czasu do trzydziestych piątych urodzin... Na razie przez trzy miesiące będzie redaktorką gazety „Post” w Waszyngtonie.

Kłopot polegał na tym, że nie chodziło o słynne pismo „The Washington Post”. Poza tym wcale nie zamieszkała w stolicy, lecz w odległym Arkansas, gdzie życie toczy się bardzo ospałym rytmem. „Washington Post - Ette” to tygodnik, który wychodził w nakładzie poniżej ośmiu tysięcy egzemplarzy i był częściowo sponsorowany przez hodowcę kurcząt.

Ambitna Ellin czuła się podłe, bo oto przyjdzie jej zapomnieć o błyskotliwej karierze dziennikarskiej.

- Czy Pan Jezus naprawdę urodził się dwudziestego czwartego grudnia?

- Tak. A przynajmniej w tym dniu obchodzimy Jego urodziny.

- To czemu ja dostaję prezenty? - dociekała Lizzie. - Moje urodziny są kiedy indziej.

- Opowiadałam ci o różnych tradycjach. Pamiętasz, kochanie?

- Pamiętam.

- To dobrze.

Lizzie zaśpiewała dwie piosenki: „Jingle Bells” i „Mary Had a Little Lamb”.

Pudgy zaczął ciężko sapać, więc Ellin zerknęła w bok, ale w tym momencie córka krzyknęła:

- Mamo! Mamo! Stań! Idzie Święty Mikołaj! Ellin spojrzała przed siebie i zrobiła wielkie oczy. Na środku drogi rzeczywiście stał Święty Mikołaj w tradycyjnym stroju.

- Trzeba mu pomóc!

Lizzie wierciła się i wymachiwała rączką, a Pudgy zaczął wściekle ujadać.

Ellin wychowała się w mieście i przestrzegała obowiązujących tam zasad. Dlatego omijała autostopowiczów i nie zamierzała robić wyjątku nawet dla gościa z Bieguna Północnego.

- Na pewno sobie poradzi.

Zwolniła, aby Mikołaj zdążył usunąć się z drogi. Kątem oka dostrzegła czerwoną półciężarówkę.

- Może Święty Mikołaj szuka pomocy, bo Rudolph złamała nogę - zastanawiała się Lizzie. - Albo popsuły się sanie. Mamo, stań.

Pieszy nie zszedł na pobocze, więc Ellin niechętnie stanęła i odrobinę uchyliła okno. Mikołaj podszedł i uśmiechnął się.

- Przepraszam panią za kłopot. - Mężczyzna miał miły, niski głos i, jak na mieszkańca dalekiej Północy, zbyt południowy akcent. - Czy mógłbym skorzystać z pani telefonu?

- Niestety, nie mam. - Uświadomiła sobie, że to oznacza przyznanie się do bezbronności, dlatego dodała:

- Ale mam czarny pas w karate i szkolonego, agresywnego psa. A zagryzienie przez psa to marna śmierć.

- Dziękuję za ostrzeżenie. - Nieznajomy rzucił okiem na Pudgy'ego. - Przed wyjazdem miałem sprawdzić, ile zostało benzyny, ale zapomniałem. Jak na złość była resztką. - Wzruszył ramionami. - No i utknąłem tu. Może pani mnie poratuje?

- Nie wzięłam zapasu.

- Święty Mikołaju, gdzie są twoje sanie?

Lizzie nie miała zahamowań i często wtrącała się do rozmów dorosłych.

- Zostały na Biegunie Północnym - poważnie odparł mężczyzna. - Nie ma śniegu, dlatego musiałem wziąć samochód.

- On też lata?

- Teraz stoi, bo nie ma benzyny. - Spojrzał na Ellin.

- Nie lubię się spóźniać, a za parę minut powinienem być w Shady Acres, na świątecznym przyjęciu dla pensjonariuszy.

Czekają na mnie, nie mogę sprawić im zawodu. To niedaleko. Podrzuci mnie pani?

Ellin nie miała najmniejszej ochoty wpuszczać obcego człowieka do samochodu. Pomyślała jednak, że w Arkansas pewnie jest mniej przestępców niż w Chicago. Poza tym psychopaci nie przebierają się chyba w wysoką czapkę i czerwony płaszcz z białym futrem. Jak postąpić? Co ważniejsze: bezpieczeństwo czy psychika dziecka, które jeszcze wierzy w Świętego Mikołaja? Złe posunięcie może spowodować u Lizzie psychiczny uraz, który ujawni się za kilka lat i będzie wymagał interwencji terapeuty.

- Mamusiu!

- Co, kochanie?

- Zabierz Świętego Mikołaja, a ja powiem mu, gdzie jest nasz nowy dom.

Tylko tego brakowało! - pomyślała Ellin.

- Ja też jadę do Shady Acres - powiedziała, opuszczając szybę trochę niżej. - Podwiozę pana, jeśli mi pan powie, jak nazywa się tamtejszy kierownik.

Nieznajomemu wesoło rozbłyły oczy.

- O, widzę, że będzie egzamin.

- Chcę wiedzieć, czy pan mówi prawdę.

- Mamo, Święty Mikołaj zawsze mówi prawdę - zawołała zgorszona Lizzie.

Mężczyzna wybuchnął gromkim śmiechem, a Ellin spłonęła rumieńcem.

- Muszę uważać...

- Rozumiem pani opory. Otóż rządzi tam kierowniczką, nie kierownik. Nazywa się Lorella Polk, ma pięćdziesiąt osiem lat, męża Henry'ego, trzech synów: Bobby'ego, Tracy'ego i Paula, oraz czworo wnucząt: Allena, Lindseya, Derricka i Garricka. Pani Polk jest baptystką, ma ładny głos, śpiewa w chórze. Zarządza ośrodkiem od dwunastu lat.

Przedtem zajmowała się malowaniem i tapetowaniem biur, a jeszcze wcześniej sprzedawała kosmetyki. W ubiegłym roku poddała się operacji usunięcia woreczka żółciowego i teraz bardzo pilnuje poziomu cholesterolu. Ostatnio ma dokuczliwą wysypkę na...

- Starczy - ostro przerwała Ellin. - Kim pan jest? Przedstawicielem CIA z Bieguna Północnego?

Nieznajomy pochylił się i zwrócił do Lizzie:

- Święty Mikołaj wie wszystko, prawda, królewno? Lizzie rozpromieniła się i pomachała różdżką.

- Niech pan wsiada - mruknęła Ellin. Mężczyzna przydźwigał wór z prezentami, rzucił na tylne siedzenie i zajął miejsce obok Pudgy'ego. Ellin poczuła przyjemny zapach cytrynowej wody po goleniu.

- Czy dla mnie też przyszykowałeś jakąś niespodziankę? - zapytała Lizzie.

Mężczyzna odwrócił się i popatrzył na nią z powagą.

- Może... Ale musisz cierpliwie czekać, bo dowiesz się dopiero na przyjęciu.

- Mamusia mówi, że dom nie musi mieć komina, by Święty Mikołaj dostał się do środka. Czy to prawda?

- Mamusia zawsze ma rację.

Ellin spojrzała w lusterko i przekonała się, że odpowiedź uspokoiła Lizzie.

- Cześć, Pudgy. - Nieznajomy pogłaskał szpica, który wskoczył mu na kolana. - Jak się masz, staruszk?

- Skąd pan wie, jak wabi się pies mojej babci?

- Mamo, Święty Mikołaj wszystko wie - zawołała Lizzie.

- Widzi cię, gdy śpisz, i wie, kiedy się budzisz.

- I kiedy ktoś postępuje dobrze lub źle.

- Więc bądź grzeczna. - Lizzie pogroziła matce palcem. - Obie musimy być grzeczne.

- Mimo że nasz pasażer jest wszytkowiedzący, jednak przedstawię się. Nazywam się Ellin Bennett, a to królewna Lizzie.

- Wiem, kim pani jest. Ja jestem...

- Świętym Mikołajem - pośpiesznie dokończyła i nieznacznie skinęła głową w stronę dziecka.

- Zgadza się.

Jack Madden orientował się, kim Ellin jest, ale ciemnooka brunetka wcale nie była herod - babą, której się spodziewał. Dziennikarze z dużych miast nie cieszą się zbyt dobrą opinią... Ellin miała przejąć lokalną gazetę na czas pobytu dotychczasowego redaktora w Peru. Jig Baker doczekał się spełnienia wieloletnich marzeń i wziął udział w ekspedycji archeologicznej.

Od niego Jack wiedział, że Ellin jest rozwódką, ma dziecko i bardzo zależy jej na pracy. Jig uprzedził współpracowników, że w Chicago panują inne obyczaje i radził przygotować się na zmiany.

Nic jednak nie przygotowało Jacka na to, co ujrzał. Pani Boswell nie wspomniała, że jej wnuczka jest piękną kobietą. Chętnie opowiadała też o prawnuczce, ale nie zdradziła, że Lizzie jest błękitnookim i złotowłosym cherubinkiem.

Jack dorywczo prowadził rubrykę sportową w „Post - Ette”, więc oczywiście był ciekaw nowej szefowej. Teraz mógł swobodnie ją obserwować i zaspokoić ciekawość. W mieście powiadano, że Ellin Bennett okropnie zadziera nosa, ale był to szalenie zgrabny nosek.

Dziwne, jednak wcale nie sprawiała wrażenia bezwzględnej, twardej kobiety. Była delikatna i krucha. Miała brzoskwiniową cerę, piwne oczy ocienione gęstymi rzęsami i ładnie, wykrojone usta koloru pąsowej róży. Długie włosy zwinęła w fantazyjny kok podtrzymywany spinkami z kości słoniowej. Jack poczuł, że świerzbią go palce; miał ochotę

wyciągnąć spinki i zobaczyć, jak jedwabista masa spływa na plecy Ellin.

Zrobiło mu się gorąco i duszno. Zawsze uważał się za opanowanego człowieka, a tymczasem... Rzadko zdarzało mu się tak gapić na nieznajome kobiety. Widocznie Ellin była wyjątkowa i dlatego tak na niego działała. Dziwne, lecz miłe uczucie.

Nie mógł oderwać od niej oczu. Ona naprawdę nie wyglądała na bezwzględną harpię. Ubrana była w golf z angory, brązowe spodnie ze sztruksu, płaszcz z wielbłądziej wełny i eleganckie buty. Popatrzył na wytworny złoty zegarek i diamentowe klipsy. Wszystko było w dobrym guście i bardzo kobiece.

Uśmiechnął się na myśl o zmianach. Być może najciekawszą rzeczą będzie obserwowanie tego, jak wielkowiejska dziennikarka przystosuje się do życia na prowincji. Pragnął poznać ją bliżej i ogarnęło go podniecenie dziecka, które nie może doczekać się gwiazdkowych prezentów.

- Jak się czuje pani babcia?

Miał nadzieję, że jako osiemdziesięciolatek też będzie taki sprawny jak pani Boswell, którą bardzo lubił. Wiedział, że jest nieszczęśliwa w „więzieniu”, jak nazywała Shady Acres. Jego ciotka dokładała starań, by zapewnić staruszce troskliwą opiekę.

- Pan zna moją babcie? - szczerze zdziwiła się Ellin. - Oj, przepraszam, zapomniałam, że Święty Mikołaj...

- Wszystko wie - zawołali Jack i Lizzie jednocześnie i uśmiechnęli się.

- No właśnie.

Ellin skręciła i wjechała na podjazd przed Shady Acres.

- Mam przyjemność znać panią Boswell. Zawsze wszystkim śpieszy z pomocą. Mówiłem, żeby nie odgarniała śniegu, ale...

- Taka już jest. - Ellin stanęła przed budynkiem. - Złamała kość biodrową i wylądowała w Shady Acres.

Schowała kluczyki do kieszeni, otworzyła tylne drzwi i wyjęła Lizzie z fotelika. Pudgy kręcił się pod nogami i przeszkadzał.

Jack zamasyście zarzucił sobie worek na plecy i spojrzał w dół, ponieważ poczuł coś na ręce. To Lizzie go złapała. Miała śmiesznie przekreconą koronę i patrzyła na niego pełnymi zachwytu błękitnymi oczami. Takie spojrzenie stopiłoby serce z lodu. Jack wyciągnął z worka duży dzwonek z mosiądzu, przykucnął i spytał tajemniczym szeptem:

- Pomożesz mi?

- Ja mam pomóc?

- Umiesz dzwonić?

- Spróbuję.

- Zadzwoń głośno, żeby wszyscy wiedzieli, że już przyjechałem.

Lizzie rozpromieniła się i z namaszczeniem wzięła dzwonek, a Jack pomyślał, że dziecko zapamięta ten dzień do końca życia.

- Może ja też - szepnął.

Trzymając się za ręce, doszli do drzwi, przy których czekała Ellin. Jack mrugnął do niej porozumiewawczo. Nie zarumieniła się, nie odwróciła wzroku. Miała na ustach uśmiech światowej kobiety, która wszystko wie i nic jej nie zdziwi. Intrygująca istota.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ellin weszła jako pierwsza. Lizzie z zapalonym dzwoniła, oznajmiając przybycie Świętego Mikołaja, który ugiął się pod workiem z prezentami. Po prawej stronie sali stała wysoka, pachnąca, pięknie ustrojona daglezwia, a na środku długi stół, zastawiony salaterkami i półmiskami. Pensjonariusze siedzieli w kręgu utworzonym z foteli i wózków inwalidzkich. Wszyscy mieli na ustach pełen oczekiwania uśmiech, a do piersi przypiętą gałązkę ostrokrzewu.

Ellin wzrokiem odszukała babcię i pomachała ręką. Pani Boswell, siedząca na wózku inwalidzkim, miała nogi okryte barwnym kocem, szyję owiniętą czerwonym szalikiem, siwe włosy starannie uczesane i spięte plastikowymi spinkami.

Ellin pomyślała zasmucona, że po wypadku babcia bardzo zeszcupiała. Oby tegoroczne Boże Narodzenie nie okazało się jej ostatnimi świętami... Po rozwodzie rodziców Ellin rzadko widywała matkę ojca. Teraz bardzo tego żałowała i miała nadzieję, że nadrobi stracony czas. Może Lizzie zaprzyjaźni się z prababcią i poczuje więź z rodziną.

Ellin gnębiło poczucie winy, że opuszczając Chicago, postępuje jak tchórz. Jej zdaniem przenosiny do prowincjonalnego miasteczka były ucieczką od problemów, a nie ich rozwiązaniem. Jednak gdy zobaczyła, jak babcia rozpromienia się na ich widok, zrozumiała, że są rzeczy ważniejsze niż kariera zawodowa.

Podeszła do staruszki, mocno ją uściskała i serdecznie ucałowała. Po powitaniu popatrzyła na Pudgy'ego, który stanął na tylnych łapach i liznął pomarszczony policzek swej pani.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę z waszego przyjazdu - powiedziała wzruszona pani Boswell. - Dziękuję, że zabrałaś tego zbrojaka. Bardzo mi go brak.

- On też tęskni.

- Rozbierzcie się.

Rano Lizzie postawiła na swoim i włożyła różowe baletki oraz długą, blad różową szyfonową sukienkę z bufiastymi rękawami i falbaniastą spódnicą. Mała elegantka uważała, że to strój odpowiedni na każdą uroczystą okazję.

- No, Pudgy, dosyć lizania. - Pani Boswell posadziła szpica na kolanach i, zakrywając usta dłonią, szepnęła do Ellin: - Jack jest szalenie miły, prawda?

- Kto taki?

Ellin usiadła na krześle, a Lizzie, nadal trzymając dzwonek, na podłodze.

- Jack Madden - wyjaśniła starsza pani. - Ładnie, że zgodził się wystąpić w roli Świętego Mikołaja. Chyba go znasz, bo razem weszliście.

- A, czyli on tak się nazywa. Już kiedyś to nazwisko obito mi się o uszy... Czy jest związany z gazetą?

- Tak, ale tylko dorywczo, bo z zawodu jest nauczycielem. Jego uczniowie wybrali i opakowali prezenty. To złoto, nie człowiek.

- Hmm. - Ellin uważniej przyjrzała się Świętemu Mikołajowi. Wesóło pohukiwał i podtrzymywał wydany brzuch. Potem postawił wór na podłodze i przywitał się ze wszystkimi, żartobliwie pytając, czy dobrze się sprawowali. Ścisnął ich chude dłonie, całował zarumienione policzki i delikatnie ocierał łzy wzruszenia.

Wreszcie zaczął rozdawać prezenty, a krewni i wolontariusze pomagali pensjonariuszom rozwiązywać wstążeczki i wyjmować skarpety, pantofle, pluszowe zwierzątka, kolorowe plakaty, perfumy, płyny po goleniu. Na zakończenie uraczono się słodyczami i ponczem.

Lizzie pociągnęła matkę za nogawkę.

- Co, Serduszko?

- Ja nic nie dostałam...

- Jesteśmy tu tylko gośćmi.
- Święty Mikołaj mówił...
- Wiem, ale...
- Czy królewna bała się, że o niej zapomniałem? Święty Mikołaj podał zasmuconemu dziecku prezent owinięty w czerwoną bibułkę.

- Nie! - Lizzie popatrzyła na niego ufnymi oczami. - Wiedziałam, że Święty Mikołaj o mnie nie zapomni. Bo mu pomagam.

- No właśnie. Otworzysz prezent? Dziewczynka niecierpliwie rozerwała bibułkę i wyjęła pieska z czarnymi oczami i opadającymi uszami.

- Och, jaki słodki - zawołała uszczęśliwiona.

- Podoba ci się?

Lizzie przytuliła zabawkę do piersi.

- Jest najładniejszy na świecie. Takiego zawsze chciałam mieć.

Ellin z dezaprobatą pokręciła głową; zwierzęca kolekcja jej córki ledwo zmieściła się w trzech kartonach.

- Bardzo się cieszę. - Jack dyskretnie wskazał smutną kobietę, samotnie siedzącą na kanapie. - Widzisz tę panią?

- Tak.

- Na pewno chętnie obejrzy twojego pieska. Lizzie natychmiast pobiegła do nieznanym. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki kobieta rozpogodziła się, uśmiechnęła i nieśmiało pogłaskała złote loki dziecka.

Lizzie mogła być z siebie dumna.

- Dobre posunięcie, panie Madden - niechętnie pochwaliła Ellin. - Doskonale gra pan swoją rolę.

- Dziękuję, pani Bennett. - Jack zwrócił się do pani Boswell: - Jak się pani czuje?

- Tak dobrze, jak to możliwe, gdy się ma osiemdziesiątkę na karku i gwóźdź w biodrze. Mój drogi, mam do ciebie

prośbę. Powiedz swojej ciotce, żeby kazała pielęgniarce zostawić mnie w spokoju, bo chcę obejrzeć film. Kładą nas spać stanowczo za wcześnie.

Jack czule pogładził zniszczoną dłoń.

- Porozmawiam z ciotką i zrobię, co się da.

Ellin rzuciła mu badawcze spojrzenie. Ciotka? Nic dziwnego, że tyle wiedział o kierownicze.

- Czy dobrze rozumiem, że pani Polk jest pańską krewną?

- Owszem. To siostra mojej matki. - Jackowi szelmowsko rozbłysły oczy. - Proszę mówić mi po imieniu, bo przecież będziemy razem pracować.

- Podobno. Jaki jest zakres pańskich obowiązków?

Była bardzo zdecydowaną kobietą i między innymi dzięki temu radziła sobie w życiu i w pracy. Wierzyła, że ma dobrą intuicję, prędko oceniała ludzi i rzadko się w tej kwestii myliła. Tym razem jednak miała kłopoty z określeniem prawdziwego charakteru Jacka Maddena.

- Co ja tam robię? - Jack nieznacznie wzruszył ramionami. - Jig szumnie nazywa mnie redaktorem działu sportowego, ale to tylko pretekst, żebym mógł chodzić na wszystkie mecze w okolicy.

- Jest pan również nauczycielem...

- Tak, proszę szanownej pani. Uczę angielskiego w liceum.

- Dziękuję za to, że był pan taki miły dla Lizzie. Ciężko przeżyła przeprowadzkę... Dopiero spotkanie ze Świętym Mikołajem poprawiło jej nastrój.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Ma pani uroczą córeczkę.

- Jestem wdzięczna, że nie obalił pan jej poglądów na temat Świętego Mikołaja. Ona jeszcze nie dorosła do prawdy.

- Nigdy nie rozwiewam nieszkodliwych złudzeń innych ludzi. Teraz przeproszę panie, bo muszę zadzwonić do

znajomego, żeby wziął mnie na hol i dowiózł do stacji benzynowej. Trzeba jakoś wrócić do domu.

Uklonił się i odszedł dwa kroki.

- Niech pan zaczeka!

Ellin zawołała jakby wbrew sobie. Zawsze sama rozwiązywała swe problemy i uważała, że inni też powinni tak postępować. Czasami jednak przytrafiają nam się nieoczekiwane dary losu. Takie myśli... zupełnie nowe... poruszyły jej uśpione sumienie i skłoniły do działania. Oto nadarzyła się okazja, by pomóc człowiekowi, który rozumiał dzieci, był miły dla jej córki i babci oraz dla wielu starych ludzi.

- Gdy Lizzie nie słyszy, jestem Jack - szepnął i uśmiechnął się uwodzicielsko.

Ellin zadrżała od stóp do głów.

- Zawiozę pana na stację benzynową - oznajmiła niemal rozkazująco. - A potem do samochodu.

- To wspaniałomyślna propozycja, ale nie chciałbym sprawiać kłopotu...

Ton głosu i wyraz oczu świadczyły, że bawi go jej apodyktyczna natura.

- Powiedziałam, że pana zawiozę, więc zawiozę - upierała się bardziej stanowczo, niż wypadało.

- Wobec tego nie będę się sprzeciwiał.

Ellin widziała jedynie oczy wesoło błyszczące za szkłem okularów. Co kryje się w ich głębi? Dlaczego nagle zapragnęła bliżej poznać ich właściciela? Aby wyzwolić się spod jego uroku, natychmiast pomyślała, że Jack Madden na pewno ma jakieś wady. Któż ich bowiem nie ma?

- Proszę dać znać, gdy będzie pan gotów - rzekła tonem zwierzchnika.

- Dobrze. - Jack rozejrzał się po sali. - Kilku osobom chciałbym poprawić humor. Możemy jechać za pół godziny?

- Oczywiście.

- Nie zapomnij porozmawiać z ciotką - przypomniała pani Boswell. - Po jego odejściu uśmiechnęła się do Ellin i ścisnęła ją za rękę. - Teraz jesteś w Arkansas.

- Tak.

Zastanawiała się, co ją skłoniło do tego, żeby zawieźć Jacka na stację benzynową. Nigdy pierwsza nie wyciągała pomocnej dłoni.

Pani Boswell bacznie przyglądała się wnuczce.

~ Moja droga, zachowujesz się, jakbyś wciąż była w Chicago.

- Nie rozumiem...

- Tutaj ludzie są inni, życzliwi, na pewno serdeczniejsi niż w dużym mieście. Nie jesteś przyzwyczajona...

- Przecież byłam życzliwa - obruszyła się Ellin. - Zaproponowałam pomoc.

Starsza pani uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Nie chodzi o to, co powiedziałaś, ale jak.

Ellin zawiozła babcię na popołudniową drzemkę, a Jacka na stację benzynową. Tam Jack pożyczył kanister i kupił benzynę. Ludzie podchodzili do niego i zagadywali, zwracając się po imieniu. Ellin zaskoczyło, że tyle osób poznaje go mimo przebrania. Ona w Chicago nie знаła nawet najbliższych sąsiadów!

Lizzie była przejęta, rozsadzała ją energia, przez całą drogę buzia się jej nie zamykała. W pewnej chwili poskarżyła się:

- My jeszcze nie mamy choinki.

- Bo nie było czasu kupić - rzuciła Ellin na swą obronę, mocno jednak zakłopotana.

- Tutaj choinek się nie kupuje - oznajmił Jack.

- A co się robi? - zawołała zdumiona Lizzie.

- Idzie się do lasu, szuka odpowiedniego drzewka i ścina. Naprawdę jeszcze nigdy nie wybrałaś sobie choinki w lesie? - spytał, udając niedowierzanie.

Dziewczynka z powagą pokręciła głową.

- Naprawdę. Święty Mikołaju, czy mógłbyś nam pomóc zdobyć choinkę?

- Niestety, muszę wracać na Biegun Północny i dopilnować, żeby elfy przygotowały prezenty dla wszystkich dzieci. Ale mam serdecznego przyjaciela, Jacka, który chętnie pomoże tobie i twojej mamusi.

- Nie wątpię - wycedziła Ellin ze złością.

Co on sobie myśli? Nie wie, że nie wolno podsuwać takich pomysłów łatwowiernym malcom? Nie czytał żadnych mądrych poradników?

- Mamusiu, pójdziemy z panem Jackiem? Nigdy nie byłam zimą w lesie. Ale... - Lizzie znowu posmutniała. - Nie możemy, bo nie mamy siekiery.

- Mój przyjaciel ma siekiere. - Jack rzucił Ellin rozbawione spojrzenie. - Bardzo dużą.

- Doprawdy? - Ellin uśmiechnęła się ironicznie. - A czy jest ostrożny? Facet z siekiere bywa niebezpieczny... może skaleczyć nie tylko siebie.

- Słusznie. - Jack puścił perskie oko. - Powiem mu, żeby uważał.

Lizzie nie mogła doczekać się chwili, gdy pozna przyjaciela Świętego Mikołaja i zobaczy, jak się ścina choinkę. Spytała podekscytowana:

- Kiedy pójdziemy do lasu? Dzisiaj?

- To zależy od twojej mamusi.

- Mamo, pójdziemy? Proszę.

Ellin posadzała Jacka o to, że z premedytacją zastawił na nią pułapkę. No tak, jeśli teraz odmówi, dziecko długo będzie miało do niej żal.

- Może...

- Może? - powtórzyła zawiedziona Lizzie. - Czyli nie pójdziemy.

- Nieprawda.

Nie lubiła robić nic pod dyktando. Przyzwyczała się do tego, że ona rządzi, a inni słuchają. Nagle Jack wydał jej się wyjątkowo przebiegłym mężczyzną.

- Zgódź się. - Lizzie machnęła różdżką, jakby chciała zaczarować mamę. - Proszę.

- Dobrze, dobrze, zgadzam się. Zobaczyła samochód Jacka i zwolniła.

- Hurra! Będzie choinka! - cieszyła się Lizzie.

- Powiem przyjacielowi, żeby się stawił około czwartej. Zgoda?

Ellin gwałtownie zahamowała i otworzyła bagażnik.

- Dobrze. Mieszkamy u babci Idy...

- Mój przyjaciel wie, gdzie to jest. Ubierzcie się ciepło, bo w lesie będzie zimno. - Zauważył lodowate spojrzenie Ellin, więc przesadnie się wzdrygnął. - Brrr! Tu też wieje chłodem. - Odwrócił się do Lizzie. - Pamiętaj, bądź grzeczna.

- Będę bardzo grzeczna. Proszę powiedzieć panu Jackowi, żeby wybrał dużą choinkę.

- Na pewno powiem. Czy przed pójściem spać w Wigilię wyłożysz ciasteczka?

- Tak. Jakie Święty Mikołaj lubi najbardziej? Z masą orzechową czy czekoladową?

- Z czekoladową. - Jack wyjął z bagażnika kanister i uklonił się Ellin. - Pani Bennett, życzę wesołych świąt.

- Dziękuję. Nawzajem.

Jana McGovern oparła łokcie na biurku i pochyliła się w klasycznej pozie człowieka, którego zżera ciekawość.

- No i jaka ona jest? - zapytała.

- Dość miła.

Jack wstąpił do siostry, aby zapytać, czy pozwoli mu wyciąć jedno drzewko w lesie, który do niej należał. Uzbroił się w cierpliwość, bo wiedział, że najpierw będzie musiał odpowiedzieć na mnóstwo pytań.

- Czy aby na pewno? Słyszałam coś innego. Podobno trudno z nią wytrzymać. - Jana podała bratu filiżankę kawy. - Najłagodniejsze określenie to, że „zadziera nosa”.

- Według mnie po prostu jest...

- Wyniosła? - podpowiedziała Jana. - Arogancka?

- Nie. Raczej pewna siebie i mówi, co myśli.

- Braciszku, zbyt łagodnie oceniasz ludzi. Podobno po krótkim spotkaniu z tą damą Jig musiał łyknąć większą dawkę leków nasercowych, a biedny Owen zamknął się w łazience na godzinę.

Jack uśmiechnął się pobłaźliwie. Było tajemnicą poliszynela, że Owen Larsen, najstarszy kawaler w miasteczku, jest chorobliwie nieśmiały.

- Nie jest taka zła.

- A jak wygląda?

- Co?

- Mówią, że jest bardzo atrakcyjna.

- Zależy, co kto rozumie pod tym określeniem - odparł wymijająco.

Starał się zniechęcić siostrę, która nie grzeszyła zbytnią delikatnością i od dawna nie dawała mu spokoju. Według niej powinien jeszcze raz ruszyć w świat, wziąć się za bary z losem, przeżyć wielką przygodę, wykorzystać dany od Boga talent, a przede wszystkim zakochać się. Bliźniacza siostra uważała, że skoro jest o kilka minut starsza, ma prawo dyrygować bratem i udzielać mu dobrych rad.

Jej uwagi padały na jałowy grunt, bo Jack lubił budzić się z miłą świadomością, że kolejny dzień nie przyniesie żadnych niespodzianek. Sprawdził już, jak żyje się w szerokim świecie.

Jana zarzucała mu brak ambicji, jednak jemu zależało na tym, by zrobić coś dobrego w rodzinnym miasteczku. Lubił swoją pracę w szkole i w redakcji. Nie wyobrażał sobie życia bez przyjaciół, wśród obcych, obojętnych ludzi.

A przygody? Najczęściej są nieciekawe i źle się kończą. Po co to komu?

- Pojęcie „atrakcyjna” jest względne - przyznała Jana. - Ale na ogół wiemy, co znaczy, więc jak byś określił urodę tej pani?

- Coś pośredniego między chłodnicą a Moną Lizą.

- Aha. To znaczy, że ci się podoba. Wiem po twojej minie.

- Nic nie wiesz.

- Znam cię nie od dziś. Nie mówisz o niej, a to najlepszy dowód, że ci wpadła w oko.

- Według zasad jakiej logiki doszłaś do takiego wniosku, kochana siostrzyczko?

- Oj, braciszku, braciszku. - Jana czule pogładziła go po głowie. - Skoro się tak obruszyłeś, sprawa jest poważniejsza, niż myślałam.

- Mówisz jak wróżka z krainy baśni!

- Patrzcie go, jak się złości. Czas, żeby coś się zmieniło i żebyś zaczął działać i korzystać z okazji.

- Dziękuję uprzejmie, ale nie brak mi zajęć i mam dużo różnych okazji...

Wiedział, o jakie „okazje” siostrze chodzi, ale wciąż czekał na wymarzoną kobietę. Marzył o związku podobnym do małżeństwa rodziców, lecz dotąd nie spotkał nikogo, z kim chciałby spędzić resztę życia.

- Nie przeczę. - Jana wybuchnęła śmiechem. - Masz tyle okazji, co ja propozycji, żeby wystąpić w telewizyjnym programie baletowym. Uważaj, mój drogi. Ona jest starsza niż ty i pochodzi z wielkiego miasta, siedliska wszelkiego zła.

Taka wyssie z ciebie wszystkie soki, a potem rzuci bez skrpułów.

- Ciekawie rozwijasz wątek. Może napiszesz powieść?

- To zostawiam tobie. Jak posuwa się twoja książka?

- W swoim rytmie. Tworzenie to nie księgowość.

- Kiedy ostatnio coś dopisałeś?

- Czemu pytasz? Jesteś moim sumieniem, czy co? - Wypił resztę kawy. - Nie przyjechałem po to, żebyś mnie dręczyła. Ty nie rozumiesz procesów twórczych.

- Że co? - Jana prychnęła pogardliwie. - Ja też tworzę, chyba nie zaprzeczysz.

- Pracujesz w księgowości - przypomniał sucho - a na tym polu radosna twórczość często prowadzi za kratki. Nie odpowiedziałaś, czy mogę wyciąć jedno drzewko. Jana podała mu klucz i uśmiechnęła się przebiegle.

- Ale z ciebie Don Hemingway Juan! Widzę, że chcesz dostać po głowie.

Ellin kończyła ubierać Lizzie, gdy rozległ się dzwonek. Spojrzała na stary babciny zegar. Jack zjawił się punktualnie co do minuty. Zapięła zamek błyskawiczny i poprawiła czapkę z pomponem.

- No, idź otworzyć drzwi przyjacielowi Świętego Mikołaja.

Sama też była gotowa, ubrana w gruby sweter, dżinsy i solidne buty. Włożyła jeszcze skafander, wsunęła wełnianą opaskę na uszy i poszła do bawialni.

W drzwiach gwałtownie się zatrzymała. Gdyby była postacią z filmu rysunkowego, oczy wyskoczyłyby jej z orbit na sprężynach, a chodnik zwinąłby się w harmonijkę. Oniemiała patrzyła na mężczyznę, który stał oparty o ścianę, z rękoma założonymi do tyłu. Był młodszy, niż się spodziewała. Dużo młodszy, co najmniej o cztery lub pięć lat. I bardzo wysoki. Bez poduszki na brzuchu też sprawiał imponujące

wrażenie. Miał szerokie ramiona, wąskie biodra i długie nogi. I potargane włosy, jakby cesał je palcami.

Z zachwytem, którego nie zdołała ukryć, przyglądała się jego twarzy. Miał wysokie czoło, gęste brwi, wydatne kości policzkowe, dość szerokie usta i silnie zarysowaną szczękę. Nie ucieleśniał typu amanta filmowego, ponieważ miał nieregularne rysy, ale był szalenie przystojny.

Wyglądał jak wielki, dobroduszny elf w okularach. Wesole błyski oczu za szklami świadczyły, że jej zmieszanie go bawi.

Jack otworzył drzwi i nisko się uklonił.

- Mamo, to przyjaciel Świętego Mikołaja - przedstawiła go Lizzie, a gdy wyszli przed dom, zawołała: - Patrz, taki samochód jak Świętego Mikołaja.

- Zbieg okoliczności.

- Rzeczywiście. Szanowna pani Bennett, jakże pani się miewa?

Pytanie w staroświeckim stylu tak ją zaskoczyło, że nie od razu odpowiedziała.

- Dziękuję. Dobrze.

- Czy panie na pewno są przygotowane, żeby ściąć choinkę?

- Tak - odparła Lizzie.

Posadził ją na przednim siedzeniu i zapiął pas. Podczas jazdy zwracał się tylko do niej, jakby chciał dać jej matce szansę, żeby zebrała myśli.

Ellin głowiła się, dlaczego tym razem intuicja ją zawiodła. Dotychczas ostrzegała przed niebezpieczeństwem, ale dziś alarm nie zadziałał. Może lepiej wyskoczyć z pędzącego samochodu i uciec? Co oznacza podniecenie i przyśpieszone bicie serca, które zaćmiło trzeźwy osąd? Czy to rozbudzone pożądanie? Wiedziała, jakie bywa niebezpieczne.

Działo się coś, co początkowo sprawia przyjemność, ale często kończy się źle. Ten dopiero poznany mężczyzna wzbudzał uczucia, jakich dawno nie doznawała. Uczucia komplikują życie, po co jej to?

Spojrzała na przejętą Lizzie i zawstydziała się, że myśli wyłącznie o sobie. Pocieszyła się, że nie jedzie na randkę i że to spotkanie nie musi mieć dalszego ciągu. Być może coś sobie wmawia, przecenia drobiazgi. Jack po prostu jest życzliwy. Przypomniała sobie opinię babci, że w Arkansas ludzie są ciepłi, serdeczni. Wobec tego nie ma powodu do niepokoju. Lizzie dostanie upragnioną choinkę i na tym sprawa się skończy. Tylko od niej zależy, czy utrzyma znajomość z Jackiem na gruncie zawodowym. Powinno to przyjść z łatwością, bo nie bez powodu w Chicago nazywano ją Królową Śniegu.

O co więc chodzi?

O niego. O nią. O całą sytuację. O wyprawę do lasu z czarodziejem, który zapewne nie wie, jaki jest urokliwy. Ellin podświadomie czuła, że szykują się nowe kłopoty, a postanowiła za wszelką cenę unikać zmartwień. Ostatnio miała ich za dużo.

Jack spojrzał na nią takim wzrokiem, że zrobiło się jej gorąco. Czemu miała dziwne wrażenie, że on czyta w jej myślach? Z tego nie wyniknie nic dobrego.

ROZDZIAŁ TRZECI

Droga była bardzo kręta, ale Jack prowadził po mistrzowsku. Ellin odpowiadała na liczne pytania córki i udawała zachwyty nad krajobrazem. Urodziła się i wychowała w mieście, rzadko miewała kontakt z dziką, nie ujarzmioną przez człowieka przyrodą. Autostrada biegła wśród gąszczy zieleni, drzewa i krzewy zdawały się rosnać w zasięgu ręki.

Pod drzewami ścielił się kobierzec brązowych i czerwonych liści. Dęby, orzeszniki i żółtnice wyciągały nagie ramiona ku bezchmurnemu, ale jakby wyblakłemu niebu. Smukłe sosny i krępe jałowce ożywiały wzgórza plamami zieleni.

W dolinie ziemia, faliście dochodząca do horyzontu, sprawiała wrażenie różnokolorowej narzuty. Tu i ówdzie z komina wzbijał się dym i leniwie płynął nad drzewami.

Lizzie była tak przejęta, że ledwo mogła usiedzieć.

- Daleko jeszcze?

- Już tylko droga przez las, który należy do siostry i szwagra. Jana pozwoliła wyciąć drzewo z łąki na wzgórzu.

Jack skręcił na wyboisty trakt, biegnący zakosami pośród drzew. Po paru minutach zatrzymał się przed bramą, wyskoczył z samochodu, otworzył kłódkę i przeciągnął łańcuch. Brama otworzyła się, skrzypiąc.

Ledwo ruszyli, podskakując na wybojach, Ellin rzuciła ironicznie:

- To ma być droga?

- Znajdujemy się w korycie wyschniętego strumienia. Szwagier kazał wyrównać dno, żeby łatwiej się jeździło.

- Wyrównać? - pogardliwie prychnęła Ellin. - To ma być łatwiejsza jazda?

- Owszem, jak na te strony. - Jack jechał powoli, ostrożnie, aby nie przebić opony. - Jana i Ted mają samochód

terenowy, bez trudu dojeżdżają do „Ryku Niedźwiadka Niewidka”.

- Ale śmieszna nazwa - zawołała Lizzie.

- Prawda? - Jack przybrał ton, jakim opowiada się bajki. - Sto lat temu grasował tu niedźwiedź - zbój, postrach okolicy. Chciano go przepędzić, ale psy nie mogły wytropić groźnego zwierza i nikt go nigdy nie widział, nawet najlepsi myśliwi.

- Bo to był Niedźwiadek Niewidek - domyśliła się Lizzie.

- Słusznie. Zwierz mocno dopiekł ludziom, ale był nieuchwytny. Aż któregoś dnia pewna kobieta zobaczyła go, gdy dobierał się do kur w kurniku.

- I co?

- Oczywiście rozżłościła się, że kradnie jej kurczęta. Niewiele myśląc, złapała strzelbę i podziurawiła mu skórę śrutem. Niedźwiedź chyba się obraził, bo uciekł i zniknął jak kamfora.

- Mądra bestia. - Ellin uśmiechnęła się.

- Lepiej nie drażnić żadnej kobiety... - mruknął Jack. - Stale to sobie powtarzam.

- O, już wiem, skąd ta nazwa! - krzyknęła Lizzie. - Bo obrażony niedźwiedź strasznie ryczał.

Jack nie zaprzeczył, więc była dumna, że zgadła.

- Pańska siostra mieszka tutaj? - zapytała Ellin.

- Nie, na razie mają dom w mieście, a tu pobudują się, gdy dzieci podrosną. Córeczka ma dopiero rok, a syn prawie pięć.

- Jak mu na imię? - zainteresowała się Lizzie.

- Colton. Może kiedyś się pobawicie.

- A on lubi królewny?

- Na pewno.

- Czy pana siostra pracuje zawodowo?

- Jej zdaniem wszystkie matki ciężko pracują. Ale Jana oprócz pani domu jest księgową.

- A co z dziećmi?

- Wozi je do pani Kendall.

- Babcia obiecała zajmować się Lizzie, ale na razie to niemożliwe, więc muszę poszukać opiekunki. Czy pana siostra mogłaby kogoś polecić?

- Zapytam. A może lepiej będzie, jak was sobie przedstawię...

Chciał, żeby Jana przekonała się, jak krzywdzące były opowieści na temat Ellin. Nie wątpił, że Ellin potrafi być bardzo przykra, gdy to konieczne, ale nie jest jędzą z natury. To niewielka, ale zasadnicza różnica.

- Zawsze mieszkał pan w tych stronach?

Jack znowu dosłyszał nutę dezaprobaty, więc odparł lekko zaczepnym tonem:

- Od urodzenia.

- Czyli ukończył pan miejscową szkołę?

- Tak... Oprócz tego dwa uniwersytety, stanowy i w Stanfordzie. Trochę podróżowałem...

- O! - Ellin spojrzała na niego zdumiona. - Ma pan dyplom ze Stanfordu?

Taka reakcja uraziłaby człowieka mniej pewnego siebie, lecz jego rozbawiła.

- Nawet nie podejrzewa pani, ilu tu mieszka wykształconych ludzi. Ale nie przyznajemy się, bo musimy dbać o lansowany przez Hollywood wizerunek opozojada z Arkansas.

- Przepraszam. - Ellin oblała się szkarłatnym rumieńcem.

- Nie chciałam urazić...

- Wcale się nie obraziłem.

Jazda była trudna, a mimo to Jack często - i z przyjemnością - zerkał na Ellin. Za każdym razem odkrywał jakiś wzruszający drobiazg. Był to dołeczek koło ust, gdy lekko się uśmiechała, blizna nad lewą brwią, siekacz lekko

zachodzący na sąsiedni ząb. Przypominało to otwieranie ładnie opakowanego pudełka, w którym jest drugie, a w tym trzecie i tak dalej. Same niespodzianki.

Już trochę o niej wiedział. Na przykład to, że jest dobrą, troskliwą matką. Jest stuprocentową mieszczką, a mimo to stosownie ubrała się na wycieczkę do lasu. Teraz stara się ukryć podenerwowanie. Był przekonany, że pani redaktor rzadko czuje się skrępowana, ale uważał, iż onieśmienie dobrze jej zrobi. Prawdę powiedziawszy, byłby rozczarowany, gdyby, widząc go bez przebrania, zachowała spokój ducha.

Bardzo podobała mu się z rozpuszczonymi włosami, miękko opadającymi na ramiona. Zacisnął palce na kierownicy, ponieważ miał ochotę dotknąć jedwabistych loków, a przecież nie wypadało.

- Wspomniał pan o podróżach. Gdzie pan był?

- W Afryce.

- Naprawdę? I potem zdecydował się pan mieszkać na głuchej prowincji?

- Lubię Waszyngton. Mam tu przyjaciół, rodzinę i ulubioną pracę. Czemu nie miałbym tu mieszkać?

- Świat jest bardzo duży.

- To prawda, ale ja zostanę w tym miasteczku. Mówi pani, jak moja siostra. Jana też tu mieszka, ale ma mi za złe, że zaniechałem podróży. Według niej nie mam ani krzty ambicji.

- Na pewno tak nie myśli.

- Myśli, myśli. - Jack wybuchnął beztroskim śmiechem. - Nawet rozpowiada to na prawo i lewo. Aż dziw, że nie ogłosi w gazecie albo na plakacie. Czy pani ma rodzeństwo?

- Nie, jestem jedynaczką. Urodziłam się, bo mama nie zdawała sobie sprawy, jak czasochłonnym zajęciem jest macierzyństwo. Rodzice rozwiedli się, gdy miałam dziesięć lat.

Jack natychmiast wyobraził sobie małą Ellin jako dziecko osamotnione i spragnione miłości. Uczuciowo zaniedbane dzieci reagują różnie; jedne są niegrzeczne, inne zamykają się w sobie, a najzdolniejsze i najsilniejsze szukają rekompensaty w nauce.

- My jesteśmy bliźniętami, ale Jana uważa, że skoro od poczęcia byliśmy razem, a ona urodziła się jako pierwsza, przysługuje jej prawo wtrącania się w moje sprawy.

- Na pewno jesteście bardzo zżyci.

- Owszem.

Trudno wyjaśnić braterskie uczucia komuś, kto nie ma rodzeństwa. Jack lubił narzekać na to, że Jana wtrąca się i chce ułożyć mu życie po swojemu, lecz to była ich gra. Nie wyobrażał sobie życia bez siostry i pozostałych dość wścibskich członków dużej rodziny.

- Pana rodzice też tu mieszkają?

- Tak, kawałek za miastem. Hodują kurczęta, ale wszystko jest zautomatyzowane, bardzo nowoczesne. Może kiedyś was zawiozę i pokażę.

- Bo ja wiem... - Ellin wzrokiem wskazała córkę. - Jak się dowie, skąd pochodzą gotowane skrzydełka i pieczone udka, przestanie jeść.

- Rodzice nie hodują kurcząt na mięso. Sprzedają jajka.

- A to co innego. Może się wybierzemy...

- Wiem, że pani ojciec już zmarł. A mama żyje?

- Tak. Niedawno wyprowadziła się do Arizony, bo ma dość śniegu. Zajmuje się sprzedażą nieruchomości.

Jacka zdziwiła informacja o tym, czym zajmuje się mama Ellin. Czyżby Ellin uważała, że zawód najwięcej mówi o człowieku? To pasowałoby do tego, co o niej opowiadano; rzekomo zależało jej jedynie na karierze.

Czy przerost ambicji zawodowych zniszczył jej małżeństwo? Nie zdążył zapytać, dlaczego się rozwiodła, ponieważ odezwała się Lizzie.

- Czy tu są sarenki?

- Oczywiście. Całe stada.

Dojechali do łąki, na której rosło kilka drzew. Latem łąka tonęła w kwiatach, ale teraz wyglądała szaro i smutno.

- Renifery też?

- Nie, tylko jelenie wirgińskie.

- Zobaczymy je?

- Może się uda, bo wieczorem przychodzą napić się wody ze strumyka.

- Podoba się panu tutaj... - Ellin wróciła do przerwane go wątku. - Nigdy nie chciał pan czegoś więcej?

Jack pomyślał, że według niej nie pragnąć więcej, znaczy pragnąć mniej, a zatem trzeba wytłumaczyć Ellin, że jest w błędzie. Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Wcale nie twierdzę, że nie chcę więcej. Bardzo chcę. Ale nie uważam, że muszę jechać gdzieś daleko, żeby to znaleźć.

- Aha.

Ellin została koło samochodu i z rozczeniem patrzyła na córkę, biegającą po łące jak ptak wypuszczony z klatki. Lizzie oglądała wszystkie ładniejsze drzewa. Jack, z siekierą na ramieniu, chodził za nią i poważnie zastanawiał się nad każdą decyzją. Dziewczynka w zapale wybrała nawet siedmiometrowy świerk! Jack nie krytykował jej otwarcie, lecz zadawał pytania zmuszające do myślenia i podpowiadał nasuwające się wnioski.

Ellin była pełna podziwu, bo naprawdę umiał postępować z dziećmi. Czy zdobył tę umiejętność dzięki pracy w szkole? A może po prostu jest z natury dobry? Niezależnie od przyczyn działało to na nią ożywczo. Po rozwodzie unikała

bliższych kontaktów z mężczyznami, ponieważ uznała, że nie nadaje się do małżeństwa. Jedni znajomi uważali, że za bardzo zależy jej na karierze zawodowej, a ci pochłonięci pracą wyrzucali, że poświęca za dużo czasu dziecku.

Były mąż zaliczał się do tej drugiej kategorii. Może gdyby miał taki stosunek do dziecka jak Jack, sprawy przybrałyby inny obrót. Gdyby kontakt z córką cieszył go zamiast irytować, rozwiązanie wielu problemów byłoby łatwiejsze. Gdyby wreszcie znaleźli wspólny język jako rodzice, nie musieliby rywalizować ze sobą.

Andrew przysługiwało prawo do regularnych odwiedzin, lecz rzadko z niego korzystał. Zanim przeprowadził się do Seattle, Ellin przypominała mu o ojcowskich obowiązkach. Zbywał ją obietnicą, że spotkania będą częstsze, gdy Lizzie podrośnie i przestanie go irytować. Taki egoista nie rozumiał, że nawiązania bliskich kontaktów z dzieckiem nie wolno odkładać na później.

Jej rozmyślania przerwało wołanie:

- Już mamy!

Jack zamasztyłym gestem wskazał zgrabne drzewko, wokół którego biegało rozpromienione dziecko.

- Mamo! Ładna choinka?

- Śliczna. - Ellin podeszła i pociągnęła nosem. - Jak pięknie pachnie.

- Sama wybrałam - pochwaliła się Lizzie, po czym odwróciła do Jacka. - Może pan rąbać.

Jack porozumiewawczo mrugnął do Ellin, udał, że spluwa na rękę, wziął wielki rozmach i po kilku potężnych uderzeniach, krzyknął:

- Uwaga! - Świerk padł na ziemię.

- To moja choinka - oznajmiła zachwycona Lizzie. - Najpiękniejsza na świecie.

Pomagała Jackowi nieść, trzymając jedną gałązkę. Ellin była zadowolona, że przyjechała. Wprawdzie z równowagi wytrącił ją fakt, że siwobrody Święty Mikołaj okazał się młodym i pociągającym mężczyzną, ale to niewielka cena za radość córki.

Zresztą uspokoiła się już i doszła do wniosku, że przecenia urok, jaki Jack na nią wywiera. Tak, w jego obecności mocniej biło jej serce, lecz cóż z tego? To zrozumiałe po dwóch latach samotności. Takie błyskawiczne zauroczenie prędko mija i rzadko jest wzajemne.

Poza tym Jack więcej uwagi poświęcał dziecku. Zachowywał się jak dobry wujaszek lub uczynny sąsiad. Chciała, żeby tak zostało.

Czy aby na pewno?

Wycieczka bardzo się udała. Nie tylko znaleźli piękną choinkę, ale na dodatek w drodze powrotnej zobaczyli stadko jeleni. Lizzie nie posiadała się z radości.

- Chcę zawsze tu mieszkać - oświadczyła stanowczo. Ellin natychmiast zaczęła się martwić, co zrobi za trzy miesiące, gdy nadejdzie pora kolejnej przeprowadzki.

W domu powitał ich szalejący z radości i ujadający szpic. Jack wniósł drzewko i od razu umocował w metalowym stojaku. W pokoju zapachniało lasem.

- Mamusiu, ubierzemy choinkę teraz? Pan Jack nam pomoże.

- Nie wypada. Już zabrałyśmy panu mnóstwo czasu. Pan ma swoje sprawy, obowiązki...

Lizzie odwróciła się do Jacka.

- Ma pan obowiązki?

- Nie. Jestem wolny jak ptak.

- Widzisz? - Lizzie z wyrzutem spojrzała na matkę. - Pan zostanie i pomoże mi powiesić aniołka. Jestem głodna. Kiedy dostanę jeść? Zaproś pana na kolację.

Ellin jęknęła w duchu. Takiego obrotu sprawy nie przewidziała, i w dodatku był niewskazany. Z Jackiem przyjemnie się rozmawia, a to niebezpieczne, ponieważ ostatnio czuła się bardzo samotna. Poza tym przysięgła sobie, że będzie unikać spotkań we dwoje. Z jednej strony wolałaby, żeby Jack odszedł, a z drugiej, żeby został.

Lizzie nie miała podobnego dylematu, więc zapytała:

- Zostanie pan na kolacji? Jest pan głodny?
- Po rąbaniu drzewa zawsze dopisuje mi apetyt.
- Słyszysz, mamó? Pan też jest głodny. Ugotuj nam coś dobrego.

Jack roześmiał się, a Ellin dygnęła jak pokojówka.

- Już się robi. Życzenie jaśnie pani jest dla mnie rozkazem.

Lizzie lekko popchnęła matkę w stronę kuchni. Jack też chciał wyjść, ale schwyciła go za rękę.

- Niech pan zostanie i opowie mi bajkę.
- Rozkaz.
- Ona za bardzo lubi rządzić.
- W tym wieku to normalne.
- Proszę dać mi kurtkę, powieszę w przedpokoju. Zrobiło się jej gorąco, gdy Jack zdjął żeglarską kurtkę i zobaczyła jego szeroką pierś i potężne bicepsy. Wyglądał jak wilk morski, który właśnie powrócił z dalekiej wyprawy naokoło świata. Czy jest niebezpieczny dla samotnej kobiety?

- Zostawiam was na chwilę - rzekła nieswoim głosem i uciekła do kuchni.

- Nie ma pośpiechu! - Jack uśmiechnął się niewinnie. - Poczytamy sobie bajeczki, pooglądamy obrazki.

Po pewnym czasie zajrzała do pokoju. Lizzie siedziała przytulona do Jacka i z otwartą buzią słuchała bajki o trzech świnkach.

Po skromnej kolacji Jack pomógł przynieść z garażu pudło z ozdóbkami, po czym usiadł w fotelu na biegunach, wziął psa na kolana i przyglądał się, jak Ellin i Lizzie ubierają choinkę. Wyobraził sobie minę Jany, gdy zadzwoni, żeby usłyszeć sprawozdanie z wyprawy do lasu.

Dziwiło go, że zna Ellin i Lizzie zaledwie kilka godzin, a tak dobrze czuje się w ich towarzystwie. Miał podniecające, a jednocześnie przerażające wrażenie, że historia się powtarza. Widocznie los chciał, by się spotkali. Tak miało być...

Myśl była zaskakująca, ale uspokoiła Jacka. Miał wrażenie, że znalazł przyjaciela z dzieciństwa, którego brak stale odczuwał. Madden senior powiedział kiedyś, że jeśli mężczyzna spotyka odpowiednią kobietę, to natychmiast o tym wie. Wtedy cały świat pięknieje, jak ogród po wiosennym deszczu. Wszystko się zmienia.

Czy los przeznaczył mu Ellin? Pierwszy raz w życiu zadał sobie to pytanie, chociaż był już przedtem zakochany. Czy ojciec miał rację? Dotychczas uważał go za romantyka i marzyciela bujającego w obłokach.

Czuł się, jak człowiek z kluczem do raju w jednej ręce, a bombą zegarową w drugiej. Jak w takiej sytuacji postąpić? Musi coś zrobić, zanim Ellin stąd wyjedzie.

- Widzi pan? - Lizzie podeszła do niego. - To mój specjalny aniołek, będzie na samej górze.

Anioł miał bujne loki i falbaniastą suknię. Zdaniem Jacka wyglądał jak modna lalka, a nie posłaniec z Niebios.

- Ładnie ubrałyście choinkę - pochwalił. - Już jesteś przygotowana na przyjście Świętego Mikołaja.

- Ale nie ma komina i on nie wejdzie.

- Kochanie, zapomniałaś, co ci mówiłam? - odezwała się Ellin. - Święty Mikołaj jest czarodziejem i może wejść do każdego domu.

- Ale gdyby był komin...

Jack wiedział, że w takiej sytuacji najlepiej odwrócić uwagę dziecka.

- Chodź, pomogę ci zawiesić aniołka. - Wziął ją na ręce i podniósł do góry. - A teraz usiądź koło mamusi.

Gdy zgasił górną lampę i włączył kolorowe światełka, Lizzie wyrwał się okrzyk zachwytu.

- Och, jaka piękna choinka!

Jack usiadł i, patrząc na Ellin, rzekł:

- Bardzo piękna.

Pół godziny później, gdy Ellin przyniosła kawę, Lizzie leżała z głową na jego kolanach i smacznie spała, przykryta wełnianym kocikiem.

- Przepraszam. - Ellin chciała ją wziąć. - Miała dziś za dużo emocji.

- Zostaw, niech sobie śpi.

- Masz świetny kontakt z dziećmi. Pewnie nie uwierzysz, ale ona rzadko do kogoś łąnie.

- Bardzo lubię dzieci. Inaczej nie byłbym nauczycielem.

- To niezbyt intratne zajęcie, szczególnie w takiej dziurze.

- Bo ja wiem... - Lekko wzruszył ramionami. - Mamy rzadki przywilej kształtowania dusz, formowania charakterów, rozwijania umysłów, więc gdybyśmy jeszcze chcieli dużo zarabiać, byłaby to pazerność.

Ellin nie była pewna, czy mówi poważnie, czy żartuje.

- Na mojej córce zrobiłeś duże wrażenie i jako Święty Mikołaj, i jako Jack.

- Dzieci mnie lubią. - Zerknął na leżącego obok Pudgy'ego. - Psy też. Może to najlepsi znawcy charakteru człowieka?

- Zgłoś się, gdy będziesz szukał pracy jako opiekun.

- Moimi siostrzeńcami często się opiekuję.

- Naprawdę?

- Czemu się dziwisz?

Ellin uchodziła za kobietę światową, ale nie знаła ludzi, niewiele wiedziała o mężczyznach. Nie rozumiała ich postępowania, często ją zaskakiwali. Jack też ją zaskakiwał, tyle że na korzyść.

- Andrew chyba nigdy nie przewinął Lizzie.

- Czy dlatego się rozstaliście?

- Między innymi, ale wolę o nim nie mówić.

- Słusznie. - Wypił resztę kawy. - Powiedz mi coś o sobie.

- Po co?

- Nie bądź taka podejrzliwa. Mówienie o sobie pomaga nawiązać kontakt z drugim człowiekiem. Wyobraź sobie, że jesteś moją uczennicą i czytasz zadane wypracowanie na temat: „Życie Ellin Bennett”.

- To będzie nudne.

- Ja ocenię.

Zamierzała mówić wyłącznie o pracy, bo to dobry, neutralny temat. Jack był jednak tak wspaniałym słuchaczem, że opowiedziała również o tym, jak i dlaczego straciła pracę. Reportaż, którego nie sprawdziła, dotyczył przedstawiciela władz stanu Illinois. Ośmieszony dygnitarz zażądał satysfakcji i uspokoił się, dopiero gdy przełożeni wyrzucili Ellin z pracy.

- Oficjalny werdykt brzmiał, że jestem niekompetentna, a to nieprawda - kończyła rozgoryczona. - Akurat byłam przemęczona, zagoniona, więc trochę roztargniona. Naprawdę jestem dobrą dziennikarką.

- Nie wątpię. Czemu zdecydowałaś się przyjechać do Waszyngtonu?

- Bo babcia umówiła mnie na rozmowę z panem Bakerem. Gdzie indziej też pewnie coś bym znalazła, ale potrzebuję cichej przystani, żeby spokojnie lizać rany. Mam trzy miesiące do namysłu, jak pokierować dalszym losem.

- A potem?

- Kto wie, co potem? Roześlę podania, zadzwonię tu i tam, coś się znajdzie. W międzyczasie będę tutaj pracować. Solidnie.

- Wierzę.

- Przyznam się, że niechętnie tu jechałam.

- Bo to degradacja?

- Tak długo wspinałam się coraz wyżej, że mi to weszło w krew. A arkansaski Waszyngton to krok w złą stronę.

Naprawdę zaś czuła się, jakby spadła z bardzo wysokiego szczytu.

- Czyli w dół. Rozumiem.

- Ale tutaj też dam z siebie wszystko.

- Tylko nie haruj do upadłego.

- Co?

- To nie Chicago. Tu ludzie się nie zagryzają, najwyżej sobie dogryzają. I życie płynie wolniej.

- Powiedz mi coś o tutejszych stosunkach. Na Main Street zauważyłam tylko jeden parkomat. Czemu nie ma więcej?

- O, to stara historia. - Jack uśmiechnął się. - W latach siedemdziesiątych radni postanowili zrobić doświadczenie, bo chcieli przekonać się, czy dochód z parkomatów wydatnie zasili budżet miasta.

- I co?

- Funduszy mieli aż na jeden parkomat, więc tylko jeden zainstalowali, ale w tym miejscu nikt nie parkował. Po kilku miesiącach ojcowie miasta uznali sprawę za przegraną i zarzucili projekt.

- Co za nonsens. - Ellin patrzyła na niego skonsternowana. - Nie przewidzieli, że człowiek nie płaci, jeśli nie musi?

- Widocznie.

- Powinni byli wykorzystać część budżetu na zainstalowanie parkomatów w całym mieście, a potem...

- Ellin?
- Co?
- My tak nie postępujemy.
- Przecież taki plan byłby lepszy i...
- Tylko że Waszyngton to nie Chicago.
- Zdążyłam zauważyć. Chwilami mam wrażenie, że przeniosłam się w jakieś inne stulecie i jakiś dziwny świat. Na przykład, nie można telefonicznie zamówić pizzy.

- Tutaj posiłki służą życiu towarzyskiemu. Zabieramy dzieci do rodziny albo do znajomych i wspólnie spędzamy czas. Co za przyjemność w samotności jeść gotową pizzę?

W duchu przyznała mu rację.

- A jak radzicie sobie bez sklepu nocnego?
- Zawczasu planujemy zakupy.
- Macie tylko jedno kino...
- Jakoś starcza nam jeden film tygodniowo.
- Nie ma ani pół bulwaru!
- A mimo to uważamy, że mieszkamy w mieście. - Jack skrzywił się z niesmakiem. - Fe, straszny zaścianek.
- Kpisz ze mnie w żywe oczy - obruszyła się Ellin.
- Jakżebym śmiał.
- Robi się późno. Muszę położyć Lizzie.

Gdy się pochyliła, włosami musnęła jego policzek i spojrzeli sobie w oczy. Zrozumiała, że Jack chciałby ją pocałować i zdumiała się, że sama tego pragnie. On jednak opanował się i podał jej dziecko. Wzięła Lizzie, chociaż miała miękkie nogi i bała się, że nie dojdzie do sypialni. Wcale nie była roztrzęsiona z powodu pożądania w oczach Jacka czy swojej reakcji. To był skutek rozczarowania, że Jack jej nie pocałował.

- Ellin?
- Co - rzuciła, nie odwracając się.
- Powinienem już iść, prawda?

- Tak.
- Więc dobranoc.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rano pojechał oddać klucz. Jana zapowiedziała, że zamknie biuro od Wigilii do Nowego Roku, żeby mieć czas dla rodziny i przygotować się do kolejnego roku podatkowego. W związku z tym powinna być bardzo zajęta. Jack łudził się, że odda klucz, podziękuję za drzewko i zniknie, nim siostra przeistoczy się w Wielkiego Inkwizytora. Próżna nadzieja!

Na powitanie Jana rzuciła mu groźne spojrzenie i wymownie przesunęła palcem po gardle.

- Nie podobasz mi się, panie bracie.

- Co prze skrobałem?

- Nie wiem. I o to mi chodzi. Czekałam cierpliwie do dwunastej, a mam małe dzieci, więc nie powinnam zarywać nocy. Dlaczego nie zadzwoniłeś?

- Bo nie wiedziałem, że jestem pod twoją kuratelą i muszę się meldować.

Doświadczenie nauczyło go, jak się bronić. Rzucił klucz, który Jana zręcznie schwyciła, po czym usiadł wygodniej i wsunął ręce do kieszeni.

- Nie udawaj Greka. Gdybym ja spędziła popołudnie i wieczór z przystojnym nowym znajomym, też chciałbyś znać parę szczegółów.

- Może. - Nastroszył brwi i poprawił okulary. - A twój biedny, zahukany mąż chciałby znać wszystkie.

- Nie wykręcaj się sianem, bo wiesz, o co mi chodzi. No, słucham.

Udając wielkie zainteresowanie malarstwem, Jack obejrzał ściany obwieszane „arcydziełami” siostrzeńca.

- Na razie nic się nie wydarzyło, ale bądź w pogotowiu, bo nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie sporządzić pilne sprawozdanie.

Jana pogroziła mu palcem i podała kubek kawy.

- Czy ta piękność ma wielkowiejskie maniery i szydziła z twojej naiwności prowincjusza? Jak daleko się posunąłeś?

Jack zrobił poważną minę i przyjął pozę „Myśliciela” autorstwa Rodina.

- Ile aniołów zmieści się na łebku od szpilki? Jaki jest prawdziwy sens życia? Czemu grzanka spada posmarowaną stroną w dół? Tyle pytań wciąż pozostaje bez odpowiedzi...

- Braciszku! Nikt nie lubi przemądrzałych facetów.

- O? A ja myślałem, że nikt nie lubi wścibskich i upartych bab.

- Czyli nic nie powiesz?

- O pani Bennett i o mnie ani słowa. Ale jeśli chcesz dyskutować o symbolizmie w dziewiętnastowiecznej literaturze amerykańskiej, jestem do usług.

- Ty i pani Bennett? Ha, ha! - Janie rozbłysły oczy. - Czyli już coś między wami zaszło. Mnie nie oszukasz. Wiedziałam!

- Czy wiesz i to, że chcę zaprosić gości na święta?

Postanowił to zrobić, ledwo pożegnał Ellin, gdy wciąż jeszcze pamiętał jej zapach, widział oczy. Pragnął spędzić z nią więcej czasu, być blisko, jak najbliżej.

- Niby kogo?

- Panią Boswell z wnuczką i prawnuczką. Jak myślisz, czy mama nakarmi trzy dodatkowe osoby?

- Kpisz czy o drogę pytasz? Przecież wiadomo, że im więcej, tym weselej, jak twierdzi nasza mama. Ale czy pani Boswell przyjmie zaproszenie?

- Zapytam, to się dowiem.

Najpierw trzeba wymyślić sposób, jak podejść Ellin. Nie był pewien, czy ona pragnie poznać go bliżej. Jaka ona jest: naprawdę cyniczna, czy tylko pod takim płaszczykiem ukrywa romantyczną naturę? Trzeba ostrożnie to sprawdzić. Zadanie

będzie trudne, ale warto spróbować. Nie wolno popełniać błędów, bo czasu jest mało.

- No? - Jana przesunęła telefon gestem, jakim przed laty popchnęła w jego stronę zieloną gaśienicę, którą musiał zjeść.

- Na co czekasz?

- Muszę się namyślić.

- Patrzcie, znalazł się myśliciel - drwiła Jana.

Zawsze kpiła z niego, od najwcześniejszych lat. Nawet bez słów; wtedy udawała przestraszone kurczę trzepoczące skrzydłami. A on zwykle unosił się honorem i dawał złapać na haczyk. Teraz też. Westchnął zrezygnowany i wyciągnął rękę po słuchawkę, ale uświadomił sobie, że nie zna numeru pani Boswell.

Jakby czytając w jego myślach, Jana podała mu książkę telefoniczną.

- Bierz się do dzieła. - Wstała i obrzuciła go krytycznym spojrzeniem. - Ale najpierw idź do fryzjera i każ porządnie się ostrzyć.

Zadzwoił minutnik, więc Ellin włożyła rękawice i wyjęła z piekarnika dwa placki z dynią. Syknęła ze złości, bo ciasto po bokach przypiekło się za mocno, a w środku za słabo. Wstyd pokazać taki dowód mizernego kunsztu kulinarnego.

- Trzeba było kupić coś gotowego - mruknęła. - A teraz za późno, bo tu w Wigilię piekarnia zamknięta już o dwunastej. To wszystko przez przerost ambicji. Przecież wiem, że nie umiem gotować.

Lizzie wdrapała się na krzesło, popatrzyła na ciasto i zapytała:

- Co to jest?

- Placek z dynią.

- Lubię go?

- Rok temu ci smakował.

- Taaak? - Dziewczynka skrzywiła się. - Ten nie będzie mi smakował, bo jest brzydki.

- Rzeczywiście, niezbyt apetycznie wygląda.

Ellin usiadła koło kuchenki i zamyśliła się. Dlaczego wypiek jest nieudany? Jak to się stało? Kiedy i jaki błąd popełniła? Robiła wszystko ściśle według babcinego przepisu. Lecz myślała o czymś innym, i to się zemściło. Była zła, ponieważ nie lubiła, gdy ktoś za nią planuje, co ma robić. Nie mogła sobie darować, że przyjęła zaproszenie na świąteczny obiad u państwa Maddenów.

Jack zadzwonił, gdy korzystając z tego, że Lizzie śpi, usiłowała zbudować domek dla lalek, główny prezent pod choinkę. Pomstowała, że kupiła zabawkę, której nie potrafi złożyć, mimo że ma przed nosem instrukcję. Winą obarczała autora instrukcji, nie siebie. Akurat obmyślała krytyczny artykuł z postulatem, żeby ludziom, którzy nie znają ojczystego języka zabroniono pisać instrukcje. Była w połowie artykułu, gdy zadzwonił telefon. Pobiegnęła odebrać, żeby nie obudził Lizzie. Sapnęła gniewnie, gdy okazało się, że dzwoni przystojny przebieraniec.

- O, nie sądziłem, że na dźwięk mojego głosu zabraknie ci tchu - rzekł na powitanie.

Nawet nie próbowała tłumaczyć, że się pomylił. Gdy powiedział, w jakiej sprawie dzwoni, od razu uprzejmie odmówiła. Jack nie przyjął tego do wiadomości i zaczął wysuwać różne argumenty. Broniła się coraz słabiej, aż dobił ją pytaniem:

- Naprawdę chcesz, żeby Lizzie spędziła Boże Narodzenie w Shady Acres i musiała cicho siedzieć? Czy nie lepiej pojechać do moich rodziców, u których jest dużo przestrzeni, dziecko może się wybiegać i pobawić z rówieśnikami? Twoja babcia na pewno chętnie odwiedzi znajomych. A ty poznasz nowych ludzi. Moja rodzina stanowi

jedną czwartą ludności miasteczka i połowę czytelników „Post - Ette”. Będziesz miała okazję udowodnić nam, że w Chicago też mieszkają normalni ludzie.

Nie zdołała wymyślić żadnego kontrargumentu, więc postanowiła upiec jakieś ciasto. Ocknęła się, gdy Lizzie pociągnęła ją za rękaw.

- Mamo?

- Co?

- Ktoś dzwoni.

Ellin zerwała się i nadepnęła psu na ogon. Pudgy zawsze siedział nie tam, gdzie trzeba.

- Czemu włazisz mi pod nogi? Chcesz, żebym się przewróciła i też miała operację?

Wytarła ręce w babciny fartuch i przygładziła włosy, ale nie zdążyła otworzyć drzwi. Zrobiła to Lizzie.

- O, wujek!

Złapała go za nogę, a on pochylił się i ją uściskał.

- Witaj, królewno. Dzień dobry, Ellin.

- Panie Madden...

- Czemu po nazwisku?

Zrobiło się jej gorąco, czuła, że płoną jej policzki. Ponownie wytarła ręce w fartuch.

Jack był bardziej potargany niż zwykle i wyglądał, jakby przed chwilą wstał z łóżka. Pomyślała, że przyjemnie byłoby w zimową noc przytulić się do niego... Otrząsnęła się z niebezpiecznych myśli. Nie rozumiała, co się z nią dzieje.

- Już czekasz na Świętego Mikołaja? - spytał z przewrotnym błyskiem w oku.

Nieoczekiwanie musnął dłonią jej rozpalony policzek, więc cofnęła się, potknęła o psa i zachwiała. Jack błyskawicznie ją podtrzymał. Dotyk jego ręki palił przez sweter, ale wrażenie było nader przyjemne. Znowu miała ochotę przytulić się. Przygryzła wargę, zła, że nie panuje nad

sobą. Ten potargany nauczyciel działał na nią, jak żaden inny mężczyzna. Wcale jej się to nie podobało.

Nieprawda. Podobało się, i to bardzo.

- Miałaś makę na policzku.

Powoli obejrzał ją od stóp do głów i z powrotem i uśmiechnął się uwodzicielsko. Ellin poczuła, że uginają się pod nią kolana i ciało, nieposłuszne nakazom woli, reaguje po swojemu. Niedbale machnęła ręką w stronę kuchni.

- Kończyłam gotowanie... Umówiliśmy się na jutro, prawda? Czy wy już zaczynacie świętować?

- Nie.

- Więc po co przyjechałaś?

- Żeby... - Pociągnął nosem. - Oj, chyba coś się pali.

- Nic nie czuję.

Nie chciała przyznać się, że świąteczne ciasto ma zakalec i spalone boki.

- To placek z dynią - wyjaśniła Lizzie.

- Muszę do niego zajrzeć...

- Wpadłem tylko na chwilę, żeby Lizzie coś dać. Dziewczynka zaczęła podskakiwać i ciągnąć go za rękaw.

- Dostanę prezent? Jaki?

Jack wyjął z kieszeni małą paczuszkę.

- Święty Mikołaj prosił, żebym ci to przekazał.

Lizzie rozerwała papier i z otwartą buzią patrzyła na wytrych pomalowany złotą farbą i przewiązany czerwoną aksamitką, na dzwoneczek i gałązkę ostrokrzewu.

- Do czego to jest? - zapytała, gdy nieco ochłonęła.

- Martwisz się, że Święty Mikołaj nie wejdzie, bo u babci domu nie ma komina, prawda?

- Tak.

- To jest czarodziejski klucz, który przed pójściem spać musisz powiesić na klamce od zewnątrz. Święty Mikołaj

otworzy sobie drzwi i zostawi prezenty. Tylko on umie otwierać takim kluczem, nikt inny.

- Naprawdę? - Przejęta Lizzie miała oczy jak spodki.

- Tak.

- Och, dziękuję. - Objęła go za szyję i ucałowała, wzbudzając zazdrość matki. - Dobrze, że wujek jest przyjacielem Świętego Mikołaja.

- Powieś klucz na choince, żeby ci nie zginął. Lizzie wykonała polecenie, po czym usiadła na podłodze i zaczęła przekładać prezenty.

- Dziękuję ci - szepnęła Ellin.

- Nie ma za co.

- Sam go zrobiłeś?

- Tak. Dzięki temu dziecko będzie spokojnie spać.

- Na pewno. - Ellin przyjrzała mu się z uwagą. - Czy Martha Stewart słyszała o tobie?

- Ważniejsze, że ja znam jej dokonania. Bo skąd wziąłbym pomysł?

- Czy ty nie wiesz, co robić z czasem?

- Zaplanowałem sobie to i owo.

Była ciekawa tych planów. Bała się, że popełni jakieś głupstwo, więc lepiej byłoby pożegnać Jacka. I uprzedzić, żeby nie liczył na spotkanie w pierwszy dzień świąt, bo jednak postanowiła pojechać do Shady Acres. Tam też będzie przyjemnie.

- Miło z twojej strony, że dałeś Lizzie klucz - rzekła jakby niechętnie.

- W ogóle jestem dość miły.

W tym cały sęk. Rzeczywiście był wyjątkowy: troskliwy, mądry, hojny. Żywe wcielenie ideału nowoczesnego mężczyzny. Przyszło jej do głowy oryginalne porównanie: Jack to zaczarowana ryba w baśniowym stawie, w którym ona też popływa przez trzy miesiące. Potem niestety znowu

wpadnie do pełnego rekinów oceanu prawdziwego życia. Trzeba trzymać uczucia na wodzy, nie wolno przywiązać się do Jacka, to grozi osłabieniem czujności.

- Przyjadę po was rano i wstąpimy po panią Idę. Odpowiada ci jedenasta?

- Jak najbardziej.

- Dobrze. - Poglaskał ją po policzku. - Do zobaczenia.

- Do jutra.

Zamknęła za nim drzwi, oparła się o futrynę i fartuchem długo wachlowała rozognioną twarz. Była zła, że nie wymyśliła sensownego pretekstu, aby uniknąć spotkania z mężczyzną wywołującym niepożądane reakcje. W Chicago mogłaby wymówić się pilną pracą, napiętym planem, nieprzekraczalnym terminem.

Tam zawsze coś by się znalazło. Tematów dostarczali nieuczciwi policjanci, skorumpowani politycy, narkomani wśród sławnych ludzi. Napady na banki, włamania do mieszkań, podpalenia, wypadki drogowe. Stale działo się coś, co wymagało jej uwagi, zajmowało czas i wypełniało życie.

A tutaj nic, cisza i spokój. Pierwszy raz w dorosłym życiu miała za dużo czasu. Wiedziała, że niebawem sytuacja się zmieni. Nie umiała żyć bez pracy i dlatego wpadła na pomysł, żeby upiec ciasto. Wmawiała sobie, że to z powodu bezczynności traci głowę i drży pod dotykiem prawie nieznanego mężczyzny.

- Za długo byłam w okopach, żeby dobrze czuć się na tyłach - szepnęła.

Czytała o badaniach naukowych przeprowadzonych na żołnierzach. Otóż stwierdzono, że odpoczynek i rekreacja zmieniają zaprawionych w boju weteranów tak bardzo, że po jakimś czasie stają się podatni na tak zwane pranie mózgu.

Duży, piętrowy dom państwa Maddenów z zewnątrz był przybrany zielonymi wieńcami i białymi lampkami, a

wewnątrz rozbrzmiewał wesołym gwarem licznie zgromadzonej rodziny i znajomych. Wszyscy byli w świątecznym nastroju, pełni dobrej woli. Wszędzie unosiły się takie zapachy, że ślinka leciała; tu pieczony indyk, szynka, tam cynamon, gałka muszkatołowa, grzany jabłecznik. W jadalni w wykuszu stała kunsztownie ustrojona choinka, przy kominku wisały girlandy z gałązek jałowca i sosny. Rozbrzmiewały kolędy z płyt.

Jack poznał Ellin z tyloma osobami, że przestała zapamiętywać imiona, a chciała jedynie orientować się w stopniu pokrewieństwa lub znajomości. Wszyscy bez wyjątku okazali się nadzwyczaj serdeczni.

Matka Jacka była wysoką, postawną kobietą, której wygląd świadczył o korzystnym wpływie przebywania na świeżym powietrzu. Pani Madden objęła Ellin, ucałowała i podziękowała za ciasto. Ellin nie chciała przyjechać z pustymi rękoma, więc zastąpiła spalone placki ciastkami z gotowego proszku. Zawstydziała się, gdy zobaczyła swój skromny wypiek obok wymyślnych placków i tortów.

W sąsiednim pokoju starsi panowie grali w karty, a młodszy oglądali telewizję. Przed przyjazdem Ellin bała się, że będzie czuła się jak intruz, ale jedyną wnuczkę pani Boswell przyjęto z rozczulającą serdecznością. Starsza pani wszystkim znała i prawie do wszystkich zwracała się po imieniu.

W dużej kuchni kręciło się kilka kobiet, które pomagały pani domu, a sobie przekazywały najświeższe ploteczki. Pani Boswell odżyła w domowej atmosferze, zajęła miejsce przy stole obok równie wiekowej damy i razem pilnowały dzieci lukrujących ciastka. Lizzie bez oporu przyłączyła się do nich i niebawem miała więcej lukru na buzi niż na gwiazdce, którą lukrowała.

Ellin rozglądała się, nie ukrywając zdumienia. Dawno nie widziała tylu osób zgodnie i sprawnie przygotowujących

przyjęcie. Na kuchence dymiły garnki i rondelki, na szafkach stały półmiski i salaterki pełne apetycznego jedzenia. W koszyczkach, na białych serwetkach, leżały chrupiące bułki. Kto to wszystko zje?

Dom wypełniała radość, zapachy i dźwięki kojarzące się z Bożym Narodzeniem. Nie ulegało wątpliwości, że obecni - od najstarszych po najmłodszych - cenią świąteczną tradycję. Ellin zalała falą wdzięczności za to, że i jej małą rodzinę włączono do tego grona.

Pomyślała o Bożym Narodzeniu w rodzinnym domu, w którym nikt nie dbał o tradycję. W pierwszy dzień Świąt nie wolno jej było wstać przed godziną dziesiątą, bo matka lubiła długo spać. No i mama nie miała czasu gotować, więc świąteczne posiłki jadali w restauracjach. Zawsze mieli sztuczną choinkę, ponieważ z żywego drzewka sypią się igły. Ozdóbki zrobione przez Ellin w szkole nie podobały się, więc leżały na dnie szuflady. Ciasto zawsze było z cukierni. Przez długie lata Ellin nawet nie wiedziała, że można upiec placek w domu.

W pamięci nie zachowała ani okrucha tradycji, tylko kłótnie rodziców, gdy była mała, i późniejsze osamotnienie.

Czasami zastanawiała się, dlaczego zabroniono jej odwiedzać babcię. Czy matka bała się, że dziecko zrozumie, czego zostało pozbawione? A może była to kolejna kara dla ojca? Ciekawe, czy zareaguje równie gwałtownie, jak kiedyś jej matka, gdy Andrew zaprosi córkę na wakacje.

Popatrzyła na Lizzie, która, nie znając uczucia onieśmienia. Po polukrowaniu ciastek dzieci poszły bawić się nowymi zabawkami. Jack uspokoił Ellin, mówiąc, że starsze dzieci zawsze pilnują, by młodszym nic się nie stało.

Na końcu poznała jego siostrę. Jana była w jadalni i, trzymając na ręku dziecko, rozstawiała talerze na długim stole przykrytym koronkową serwetą.

- To moja siostra i siostrzenica. - Jack pocałował Laurel w główkę. - Jana bardzo chciała cię poznać.

- Cieszę się, że pani przyjechała. - Jana przewrotnie uśmiechnęła się do brata. - Jack wciąż o pani opowiada. Nie lubię ceregieli, więc od razu mówmy sobie po imieniu, zgoda.

- Będzie mi miło.

Jana też była wysoka, miała wysportowaną sylwetkę i długie nogi, ładne rysy, żywe oczy i ciemne włosy, tyle że starannie przycięte.

- Jak ci się podoba nasz Waszyngton?

- Bardzo ładne miasteczko.

Dziecko bawiło się w a - kuku z wujkiem. Nie patrząc w stronę brata, Jana uderzyła go w rękę, ponieważ próbował wyłowić z salaterki żurawinę.

- Nie tętni życiem, jak Chicago, ale boczny tor też ma dużo plusów.

- Zapewne.

- Założę się, że nie będzie ci nudno. - Jana nadal zwracała się do Ellin, ale patrzyła na brata, któremu udało się skraść żurawinę. - A może pobyt okaże się ciekawszy, niż myślisz?

- Zobaczymy. Dziękuję za choinkę. Lizzie w lesie szalała z radości, a teraz chodzi dumna jak paw, że sama wybrała drzewko.

- Cieszę się, że mój brat ci pomógł.

- Jeśli można, później chciałabym zapytać o opiekunkę dla Lizzie. Jack mówił, że może coś mi poradzisz.

- Jeszcze dziś zapoznam cię z panią Kendall, bo obiecała, że nas tu odwiedzi. Na pewno spodoba ci się.

- Kamień spadnie mi z serca, gdy załatwię tę sprawę. Jana znacząco popatrzyła na Jacka, potem na Ellin i znowu na niego. Uśmiechnęła się triumfalnie i dała bratu kuksańca.

- Te trzy miesiące będą bardzo ciekawe.

Wychodzili z pokoju, gdy ich zawołała i palcem wskazała coś nad drzwiami.

Ellin zobaczyła pęk jemioly i uśmiechnęła się zakłopotana, a Jack gniewnie sapnął i wzruszył ramionami. Wtedy Jana machnęła ręką jak skrzydłem i coś powiedziała. Nim Ellin zorientowała się, co nastąpi, Jack objął ją i pocałował w usta. Potem, nie patrząc na zaskoczoną siostrę, wyprowadził Ellin z pokoju, posadził na schodach i wytłumaczył, co zaszło.

- Przepraszam cię... Planowałem, że nasz pierwszy pocałunek wypadnie inaczej. Jana czasami jest niemożliwa. Jeszcze raz przepraszam.

Ellin jedynie uchwyciła słowa: „planowałem” oraz „pierwszy pocałunek”.

- Co takiego? - Musiała szeptać, gdyż naokoło kręcili się ludzie. - Co znaczy „planowałem”? Myślisz, że po tym pocałunku będą następne? Mowy nie ma! Ten był pierwszy i ostatni. Zapomnij o swoich planach.

Jack patrzył na nią jak na kapryszące dziecko.

- Panie nauczycielu, czy mam wystawić panu stopień? Moim zdaniem źle pan to obmyślił!

- Zgoda.

- Co znaczy „zgoda”?

- Nie jestem prymitywem, który narzuca się kobietom. Przyznaję ci rację.

- Ot, tak, po prostu? - Spojrzała na niego zezem. - Czyli rezygnujesz ze swoich planów?

- Tego nie powiedziałem.

- A co powiedziałeś?

- Że rezygnuję ze starego planu. Widocznie i tak był kiepski, skoro nie prosisz o następny pocałunek.

- O!

Usłyszała to, co chciała, a ogarnęło ją rozczarowanie. Nie rozumiała dlaczego.

- Twoja mina świadczy, że liczysz na lepszy plan - powiedział Jack poważnie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W poniedziałek po Nowym Roku Ellin wcześniej rano pojechała do pracy. Powitała ją Deanie Sue Mason, sekretarka i księgowa w jednej osobie. Długoletnia wdowa powiedziała szefowej, żeby poczęstowała się kawą, a jeśli czegoś będzie potrzebowała, niech śmiało mówi. Potem włączyła grzejnik elektryczny koło swego biurka, wsunęła na nos okulary i zajęła się przeglądaniem poczty.

Przy każdym mocniejszym stąpieniu drewniana podłoga skrzypiała niemiłosiernie, więc Ellin szła na palcach. Usiadła za biurkiem i zde gustowana popatrzyła na stosy korespondencji, notatek i skoroszytów. Nie rozumiała, tak można pracować w takim bałaganie. Natychmiast zaczęła segregować papiery, aby zaprowadzić jako taki ład. Podzieliła je wedle własnego uznania, włożyła do teczek, podpisała „Biurko pana Bakera” i wrzuciła zamasyście do dolnej szuflady.

Pijąc kawę, rozejrzała się, aby ocenić miejsce, w którym spędzi trzy miesiące. Po dużej, eleganckiej i nowoczesnie urządzonej redakcji w Chicago ta kłitka wyglądała jak salka w muzeum dziennikarstwa. Komputery prawie tu raziły. W powietrzu unosił się zapach kurzu i starych szpargałów.

Lokal mieścił się w oszklonym budynku przy mającej najwyżej pół kilometra głównej ulicy miasteczka. Niewielkie pomieszczenie przedzielono na część służbową i część dla interesantów. Biurko Deanie ginęło pod doniczkami, wazonami, zwierzątkami i zdjęciami wnucząt.

Po lewej stronie, nad zielonymi regałami, były trzy zdjęcia, z których patrzyli trzej prezydenci: Eisenhower, Kennedy oraz Clinton. Pod sufitem wisiały dwa stare, zakurzone i nieruchome wentylatory.

Przeciwnieległa ściana była zabudowana półkami od podłogi do sufitu i tam leżały powiązane sznurkiem pliki gazet, nawet

sprzed pierwszej wojny światowej. Nad drzwiami wisiał pogryziony przez mole łeb zezowatego jelenia. Ellin poczuła się nieswojo pod obstrzałem tyłu par oczu.

Ogłędziny przerwało wejście trzeciego pracownika, Owena Larsena. Siwowłosy mężczyzna był mocno zaczerwieniony; nie wiadomo, czy z zimna, czy ze wstydu, że się spóźnił. Niezgrabnie nalał kawy do dużego kubka z napisem „Stary i jary” i zniknął w sąsiednim pomieszczeniu. Przed wielu laty zaczął pracę jako składacz, ale niedawno ukończył kurs komputerowy, na którym nauczył się nowej techniki łamania. Ellin była ciekawa, kiedy nieśmiały starszy pan odezwie się do niej pierwszy.

Z właścicielem, wydawcą i redaktorem w jednej osobie spotkała się dwa razy. Jig Baker był tak przejęty tym, że jako amator może jechać do Peru z naukowcami, iż mówił głównie o archeologii i wyprawie, o której marzył przez całe życie. Zwięźle podał zakres obowiązków redakcyjnych i zapewnił, że dziennie wystarczy pięć, sześć godzin, żeby im sprostać.

Ellin przesunęła plik starych gazet na bok i westchnęła. Jeśli praca zawodowa zajmie zaledwie pięć godzin, to zostanie dziewiętnaście, które jakoś trzeba zapełnić. Zaczęła liczyć. Sześć lub siedem przeznaczy na sen, a dwie, trzy na codzienne obowiązki domowe. Dużo czasu poświęci córce i babce, ale i tak jeszcze trochę zostanie. Tyle wolnych godzin! Co z tym fantem zrobić? Skrzywiła się niezadowolona.

Trzeba jakoś sensownie wykorzystać czas. Może zapisać się na kurs kroju i szycia, koronkarstwa lub gotowania? Nie, nie warto, bo i tak nie będzie królowała w kuchni. Lepiej zająć się pisaniem podań o pracę i zbieraniem adresów różnych redakcji. Trzeba będzie pozytywnie naświetlić rzekomą niekompetencję, ale to drobiazg dla wytrawnej dziennikarki.

Zrobiła podsumowanie i ucieszyła się, że jakoś te trzy miesiące miną i chyba zdąży odzyskać równowagę oraz wiarę

w siebie. Panicznie bała się bezrobocia i niezagospodarowanego czasu, a dzięki posadzie w „Post - Ette” ustrzegła się przed najgorszym.

Pomyślała o Jacku, który po zakończeniu ferii widocznie nie miał dla niej czasu. Czy pocałunek pod jemiolą nie miał dla niego żadnego znaczenia? Celowo ją sprowokował, ale potem zaczął traktować z dystansem. A ona bez przerwy o nim myślała...

Krótko po obfitym obiedzie podziękowała gospodarzom za zaproszenie i pożegnała cały klan Maddenów. Jack wybrał okrężną drogę przez miasto, żeby pokazać najładniejsze dekoracje, zawiózł zmęczoną panią Boswell Jo Shady Acres, a Ellin i Lizzie do domu przy Dogwood Street. Lizzie chciała pokazać mu domek dla lalek, lecz się wymówił, czym zaskoczył Ellin. Pożegnał się cytatem z Clementa Moore'a i odjechał, zostawiając ją samą z dręczącymi pytaniami i marzeniami.

Nie zadzwonił przez cały tydzień. Powinna się cieszyć, a była jedynie wdzięczna. Uważała, że Jack jest niebezpieczny, nie miała pojęcia, co zamierza, lecz przysięgła sobie, że więcej razy nie da się na nic namówić. Posądzała go o to, że bawił się jej kosztem. Nie będzie ułatwiała mu zabawy!

Wyjęła z torebki zdjęcie jedynaczki i postawiła na biurku. Była spokojna o Lizzie, ponieważ pani Kendall zgodziła się opiekować zarówno nią, jak i z dziećmi Jany. Rano trochę bata się rozstania, spodziewała się też, czepiania się spódnicy, błagań, które powodują wyrzuty sumienia i długo dręczą matkę. Tymczasem Lizzie lekko cmoknęła ją w policzek i pobiegła bawić się z Coltonem, Ellin, nastawiona na łzawe sceny, doznała przykrego rozczarowania. Powinna być zadowolona, że dziecko bez trudu aklimatyzuje się w nowym środowisku, a tymczasem już martwiła się, co będzie za trzy miesiące.

- Czy znalazła pani list od Jiga? - odezwała się Deanie. -
Chyba jest w środkowej szufladzie.

Ellin wyjęła złożoną kartkę z napisem: „Artykuł wstępny do pierwszego styczniowego numeru”. Rzuciła okiem na tekst, wybuchnęła śmiechem i spojrzała na Deanie.

- Ha, ha, ha! Niezły dowcip. Chcecie mnie nabrać, bo to mój pierwszy dzień w redakcji.

Deanie, która nie miała poczucia humoru, rzekła z porażającą powagą:

- To wcale nie jest żart.

- „Zdechła świnia w rowie przyczyną sporu politycznego”
- przeczytała Ellin na głos. - To ma być coś poważnego?

- Tak.

- O co tutaj chodzi?

- Jig powiedział, że dawno nie mieliśmy takiego wielkiego wydarzenia, co w świetle zbliżających się wyborów.

..

Ellin z uwagą przeczytała tekst o wieprzu, który jakoś wy dostał się za miasto, został potrącony przez samochód, przebiegł jeszcze kawałek, zwałił się do rowu i wyzionął ducha. Niska temperatura spowolniła proces rozkładu ośmiuset kilogramów mięsa, ale widok padliny raził wrażliwe oczy. Zasypano radnych miejskich pytaniami o to, kiedy zwierzę zostanie usunięte. Radni tłumaczyli, że wieprz zdechł poza granicami miasta i odsyłali zainteresowanych do władz okręgowych.

Ellin pokręciła głową. Na świecie działo się tyle strasznych rzeczy, a tu na pierwszej stronie miało ukazać się coś takiego. Wiedziała, że „Post - Ette” jest za biedna, żeby płacić za serwisy światowe, więc pisze jedynie o lokalnych sprawach. Ale żeby o takim drobiazgu?

Doczytała artykuł do końca i dowiedziała się, co następuje: przedstawiciel okręgu udał się na miejsce wypadku

i ustalił, że wprawdzie wieprz leży przy drodze podlegającej władzom okręgowym, ale został potracony w granicach Waszyngtonu. A zatem jest to wewnętrzna sprawa miasta i władze okręgowe nie mogą interweniować. Powiadomiono odpowiednie władze policyjne, ale i tutaj nic nie wskórano, ponieważ nie popełniono żadnego zbrodni. Poszukiwania właściciela spełzły na niczym.

Ellin usiłowała zachować powagę podczas czytania zakończenia tekstu: Za życia anonimowa świnia mogła liczyć na to, że zyska dobrą sławą, zmieniając się w smaczne kotlety lub bekon. Po śmierci zdobyła złą sławę, gdyż jej mięso stało się kością niezgody.

- To zakrawa na absurd. Głupia sprawa...

- Tutejsi ludzie tak nie uważają - oznajmiła Deanie z godnością.

- Więc czemu ktoś nie usunie padliny? Byłby... Niespodziewanie zjawił się Owen, który głośno przełknął ślinę, wbił wzrok w podłogę i wyraził swoje zdanie.

- Wyciągnięcie z rowu takiej dużej świni nie jest proste. Trzeba będzie porąbać padlinę na kawałki, a to paskudna robota.

- Brudna i makabryczna - przyznała Ellin, kręcąc nosem.

- Trzeba wykopać dół, wrzucić padlinę i zasypać - ciągnął Owen.

- Dół musi być głęboki, bo chodzi o prawie tonę mięsa, a nie o kilogram - dorzuciła Deanie.

- Zanim wydrukujemy ten tekst, pojedę sprawdzić, czy wieprz jeszcze leży - zdecydowała Ellin. - Jeśli tak, zrobię kilka zdjęć i wykonam parę telefonów. - Zanotowała, dokąd ma pojechać przed odebraniem Lizzie. - Poproszę burmistrza i radnych o oficjalną wypowiedź, a potem skontaktuję się z kimś na wyższym szczeblu.

Deanie i Owen osłupieli i patrzyli na nią tak, jakby uważali, że urwała się z choinki.

- To dobry plan, więc o co chodzi?

- Nic, nic - odpowiedzieli jednocześnie.

Owen zniknął za drzwiami, a Deanie gorliwie zajęła się swoją pracą.

Po południu zaświeciło słońce, zrobiło się ciepło, pogoda sprzyjała rozkładowi wieprzowiny. Ledwo Ellin podeszła do samochodu, usłyszała wołanie:

- Ellin! Zaczekaj!

Serce podskoczyło jej z radości, lecz zrobiła minę, jakby wcale nie ucieszyła się ze spotkania. Jack nie powinien domyślić się, jak bardzo za nim tęskniła. Nie rozumiała, dlaczego ten źle ostrzyżony nauczyciel tak ją pociąga i powoduje szybsze bicie serca. Prawie zapomniała, że miała go unikać.

- Witam pana i przepraszam, ale bardzo się śpieszę - rzekła oficjalnym tonem.

- Dokąd? - szczerze zdziwił się Jack. - Co takiego się wydarzyło? Gdzie musisz pędzić?

- Zaczęłam pracować...

- I wpadłeś na trop jakiejś sensacji - dokończył, niedbale opierając się o maskę. - Zgadłem?

- Owszem.

- Już skończyłem lekcje. Czy mogę ci towarzyszyć? Oczywiście służbowo.

- Po co? O ile wiem, sprawa nie ma nic wspólnego ze sportem.

Wolała zataić, o co chodzi. No tak, dziennikarka nagrodzona za artykuł, w którym ujawniła interesy szefa największego gangu w Chicago, jedzie do zdechłej świni.

- Przepraszam, że tak długo się nie odzywałem.

Jack błysnął olśniewająco białymi zębami i popatrzył tak, że Ellin zakręciło się w głowie, ale obojętnie wzruszyła ramionami.

- Nie zauważyłam.

- Książka mnie wciągnęła i dlatego straciłem poczucie czasu.

- Musi być dobra, skoro tak się zaczytałeś.

- Nie czytam, lecz piszę.

- O? - Skrzyżowała ręce na piersi i też oparta się o maskę, ale jak najdalej od niego. Jack pisze książkę! Kolejna niespodzianka! - Naprawdę?

- Naprawdę.

- Fascynujące. O czym piszesz? Jackowi szelmowsko rozbłyły oczy.

- To trochę autobiograficzna rzecz. Takie wchodzenie w głąb...

- Głębokie studium charakterów w znerwicowanym gronie nauczycielskim? - spytała Ellin z ironią.

- Może.

- Dasz mi przeczytać?

Chętnie dowie się czegoś o Jacku. Może po lekturze będzie umiała lepiej bronić się przed zgubnym urokiem tego zagadkowego człowieka.

- Będiesz pierwszą czytelniczką.

- Jestem dobrą redaktorką, mam duże doświadczenie, naprawdę.

- Wiem.

- Mogłabym pomóc ci przygotować tekst do druku. Znam parę wpływowych osób w Chicago i Nowym Jorku. Zadzwoń i może jakiś wydawca od razu zechce przeczytać. Nigdy nie wiadomo...

Jack ostentacyjnie postukał palcem w rękę, jakby wskazywał zegarek.

- Nie lubię być niegrzeczny, ale muszę przypomnieć, że jako naczelna naszego tygodnika masz określone obowiązki. Nie zajmuj się sprawami całego świata.

Podmuch wiatru rozwał mu włosy. Ellin chętnie by je przygładziła, więc prędko wsunęła ręce do kieszeni.

- Chciałam pomóc...

- Wiem i doceniam, ale jeszcze nie potrzebuję redakcyjnych uwag.

Ellin w duchu przyznała rację Janie, według której Jack marnował swój talent. Może on nic nie osiągnie, jeżeli ktoś solidnie nim nie potrząśnie?

- Długo pracujesz nad tym arcydziełem?

- Ze cztery lata. Moja muza jest płocha i dość leniwa.

- Hmm.

- Czyżby ta monosylaba oznaczała dezaprobatę?

- Dobry autor sam dba o natchnienie. A wykręty oznaczają, że oszukuje, bo boi się odrzucenia.

- Ty zawsze łapiesz byka za rogi, więc oczywiście wszystko wiesz najlepiej.

- Nie kpij. - Ellin prychnęła zirytowana. - Jeśli człowiek nie wykorzystuje każdej szansy, nie dowie się, na co go stać, co może osiągnąć.

Jack zrobił minę, jakby usłyszał słowa mędrca.

- Słusznie. Podobną maksymę znalazłem kiedyś w chińskim ciasteczku.

- Przepraszam, czas na mnie - zawołała urażona.

Jack jest niemożliwy! To prawda, że mity i życzliwy, ale nie dąży do wydostania się z prowincjonalnej dziury i wybicia się w świecie. Szkoda, bo ma tyle do zaoferowania. Jest dowcipny, inteligentny, rozsądny, szczery, bezwzględnie uczciwy. I nie brak mu pewności siebie. Trudno pojąć, dlaczego wystarczy mu, że jest dużą rybą w małym stawie. W życiu najważniejszy jest sukces i aby go osiągnąć, należy

pracować więcej niż inni. Najlepszą miarą sukcesu jest szerokie uznanie, a Jackowi nie zależało na uznaniu poza rodzinnym miasteczkiem.

Natura nie poskąpiła mu talentów, ale brakowało mu ambicji. Tej cechy charakteru Ellin nie tolerowała, a zatem to kolejny powód, żeby się nie angażować.

- Zapomniałem, dokąd jedziesz.
- Nie zapomniałeś, bo ci nie powiedziałam.
- Faktycznie robisz z tego tajemnicę. Czy to będzie materiał na pierwszą stronę?
- Może - odparła hardo, mimo że nieco zbity z tropu.
- Chętnie wpadnę wieczorem. Dasz mi kolację i powiesz, o co chodzi.

Ellin zrobiła wielkie oczy. Nie wiedziała, czy Jack jest bezczelny, czy tak tępy, że nic do niego nie dociera.

- Niekoniecznie.
- Jak chcesz - zareagował pogodnie. - Wobec tego wpadnij do mnie i ja coś upichcę, słuchając twojej relacji.

Uznała, że on widocznie ma kiepski słuch i wzrok. Nie słyszy niuansów w głosie, nie potrafi czytać między wierszami.

- Nie.
- Wolisz iść do naszego najlepszego lokalu? Dziś dodają jedną pizzę za pół ceny.
- Nie mam ochoty na pizzę i nie wybieram się do żadnego lokalu.
- Pewnie, w domu zawsze najlepiej.
- Udajesz czy naprawdę nie rozumiesz? Uprzedzam, że między nami nic nie będzie. Czy wyrażam się jasno? Może chcesz, żebym dała ogłoszenie na całą stronę? Albo napisała na drzwiach garażu?
- Nie fatyguj się. - Jack obojętnie wzruszył ramionami. - Zrozumiałem aluzję.

- Czyżby? Dotychczas żadnej nie rozumiałeś. Chciała uciec, żeby nie przegrać kolejnej rundy i nie zgodzić się na spotkanie.

- Jedź już. Nie zatrzymuję cię w drodze do sensacyjnej wiadomości. Nie darowałbym sobie, gdyby ubiegł cię nasz największy rywal, „The Pine Valley Voice”.

Ellin wsiadła do samochodu i włączyła silnik, ale Jack zastukał w okno, więc opuściła szybę.

- Co jeszcze, panie Madden?

- Tylko przyjacielskie ostrzeżenie. Uważaj, żebyś nie wdepnęła w jakieś świństwo.

Zadowolony z siebie patrzył w ślad za oburzoną Ellin. Zdobywanie jej uczuć dostarczało mu dużo radości. Był pewien wyniku. Lubił pokonywać przeszkody, lubił też niewinne przekomarzania. Wierzył, że wreszcie znalazł prawdziwe, dozgonne uczucie.

Ellin nie zdawała sobie sprawy, że jej los został przesądzony. Nie wiedziała, że Jack potrafi być stanowczy, a nawet uparty. Gdy pokazywał przynętę, wiła się jak piskorz, ale nie dawała złapać. Nie szkodzi. Miał w zanadrzu więcej przynęt i wytrwale szukał odpowiedniej.

Dotąd nie wiedział, że gniewne zakłopotanie kobiety może być urocze i podniecające. A może było takie tylko u Ellin? Udawał obojętność, lecz z trudem panował nad sobą. Najchętniej porwałby ją w ramiona i obsypał zachmurzone oblicze pocałunkami. Sądził jednak, że przed atakiem frontalnym Ellin potrafi się bronić i wytoczyłaby ciężką artylerię. Na pewno nieraz miała do czynienia z zarozumiałymi mężczyznami, którym szkoda czasu na delikatność i romantyczne gesty. Już raz zrobił fałszywy krok, lecz to wina Jany. Nie żałował, ale będąc dobrym strategiem, wycofał się na cały tydzień i obmyślił nowy plan. Postanowił,

że skruszy opór i udowodni, jak dobrze im może być. Ellin nie ma szans, musi się poddać.

Zwierzył się rodzicom, że spotkał wymarzoną kobietę i otrzymał ich błogosławieństwo. Ellin podobała im się, a Lizzie ujęła za serce. Pani Madden jedynie zmartwiła się, że trzy miesiące to za krótki okres na prawdziwe zaloty. Mąż przypomniał jej, że ich narzeczeństwo trwało dwa tygodnie krócej, a małżeństwo okazało się trwałe i udane.

Jack był spokojny o swą przyszłość. Choć prawdę powiedziawszy, czuł, że trochę przecenia siebie i dlatego pojechał na pogaduszki do siostry.

- O, witam miejscowego Casanovę - usłyszał na powitanie. - Jak rozwija się romans?

- Ellin odrzuciła zaproszenie na kolację.

- Czyli jesteś na dobrej drodze. Nie lubię rozwiewać twoich złudzeń, ale...

- Kłamstwo! Ty to uwielbiasz.

- Racja - przyznała Jana po namyśle. - Ale spójrzmy prawdzie w oczy. Masz dwanaście tygodni, bo potem egzaltowana pani Bennett wróci do dużego miasta i ważnych spraw. Naprawdę liczysz na to, że przed opuszczeniem naszej miejsciny umówi się z tobą na randkę?

- Ona w ogóle stąd nie wyjedzie.

- Jak to? Twierdzi, że może żyć tylko w dużym mieście.

- Nie martw się, zmieni zdanie. Moja w tym głowa.

- Hmm... - Jana uśmiechnęła się niewinnie. - Zapewne przyjemnie tkwić we własnym świątku, w którym nic nie mąci kolorowych iluzji.

Jack wymierzył sobie policzek.

- Dziękuję, tego potrzebowałem.

Siostra spoważniała i popatrzyła na niego ze szczerą troską.

- Lubię pokpiwać z brata - bliźniaka, ale zatłukę każdego, kto ośmieli się z niego drwić.

- Wiem. Jeszcze nie pozbierałem się po hańbie sprzed lat, gdy przeze mnie pobiłaś koleżankę z klasy.

- Trochę jej dosunęłam... - Jana sprawdziła swoje bicepsy.
- Jak myślisz, czy Ellin też rozłożę na obie łopatki? Jestem silniejsza.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Ona walczy dzielnie, ale ja opracowałem szczegółowy plan podboju.

- Oj, to brzmi groźnie. - Jana pochyliła się nad biurkiem. - Nie chcę, żebyś przez nią cierpiał.

- Ja też nie chcę. Patrz, choć raz się zgadzamy.

- Boję się, że traktujesz sprawę zbyt poważnie. Ellin jest miła i bystra, ale ma wygórowane ambicje. Nie widzę jej w naszej dziurze, tu nie będzie zadowolona z życia. Chce mieszkać i pracować w dużym mieście.

- Wiem.

- I to nie koliduje z twoimi planami?

- Ona teraz myśli, że stąd wyjedzie, ale zmieni zdanie.

- A jeżeli nie?

- Zmieni, zmieni, bądź spokojna. Mam świetny plan strategiczny i przekonam ją, że jestem godny jej miłości. Zobaczysz.

Nie brał pod uwagę odmowy. Był pewien, że Ellin jest wymarzoną kobietą dla niego i przekona ją, że on jest jedynym mężczyzną dla niej. Pokochał ją od pierwszego wejrzenia, co pomagało wierzyć że takie silne uczucie nie może pozostać nieodwzajemnione.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Praca w Waszyngtonie była łatwiejsza niż w Chicago, ale równie żmudna. W piątek po południu Ellin odetchnęła z ulgą, że jeden tydzień ma za sobą. Była pełna optymizmu i zadowolona z tego, co zrobiła. Do nowiutkiej teczki włożyła pierwszy numer tygodnika i z dumą odstawiła na półkę.

- No, koniec na dziś. Nieźle nam poszło, nawet bez tej historii o świni. Dziękuję za pomoc i współpracę.

Deanie przeliczyła pieniądze do banku.

- El, to ty dużo zdziałałaś. Dostaliśmy cztery reklamy i zdobyliśmy dwóch nowych prenumeratorów.

Ellin poczuła się mile połączona. Taka pochwała to wprawdzie nie nagroda Pulitzera, ale sprawiała podobną przyjemność. Na prowincji osiągnięcia mają inny wymiar i nie liczą się w tysiącach egzemplarzy.

Krótki opis rozwiązania sporu o niefortunnego wieprza zamieszczono na trzeciej stronie, w związku z czym zostały wolne szpalty na pierwszej. Aby je zapełnić, Ellin opisała przygotowania do wieczoru organizowanego przez ochotniczą straż pożarną. Zdziwiła się, gdy usłyszała, że Jack też jest strażakiem, ale powoli przyzwyczajała się do tego, że on wszystko potrafi.

Artykuł miał być zapchajdziurą, a rozwinął się w ciekawą opowieść o bezinteresownych ochotnikach, którzy od dawna czynią starania, by zdobyć nowocześniejszy sprzęt. Ellin dała fotografię osmalonych mężczyzn stojących obok wozu z 1967 roku i opisała nowszy, seledynowy model, o którym marzą strażacy. Podkreśliła ich poświęcenie i zasługi w ratowaniu ludzi i mienia. Artykuł został życzliwie przyjęty i wzbudził większe zainteresowanie sprawą. Strażacy zabiegali o zebranie czterdziestu tysięcy dolarów.

- Jadę po Lizzie. - Ellin włożyła płaszcz. - Zobaczymy się na strażackiej kolacji.

- Tylko się nie spóźnij - poradziła Deanie. - Podobno ma być tłum, więc może zabraknąć chili.

- Niemożliwe - odezwał się Owen. - Wiem od Annie Jenkins, że przygotowane porcje chili starczyłyby dla całej armii generała Lee.

Całe szczęście, że przygotowano dużo jedzenia. Pod koniec wieczoru, gdy zostały marne resztki, pani Madden powiedziała Ellin, że jej artykuł mocno wstrząsnął sumieniami niektórych obywateli.

Ellin pęczniała z dumy. W Chicago nie wiedziała, czy wyniki jej pełnej zaangażowania pracy zmieniają coś w życiu bliźnich, a tutaj odzew był natychmiastowy. Hal Madden w imieniu strażaków podziękował jej za artykuł, który sprawił, że przyjechali ludzie nawet z sąsiedniego okręgu,

Rozanielona Ellin pomagała Janie sprzątać ze stołów, gdy zjawił się Jack. Spojrzał na siostrę znacząco, więc Jana zostawiła wszystko i odeszła.

Ellin zaskoczyło, że jest porządnie uczesany, ma nowy zielony sweter, świeżo odprasowane spodnie i wyczyszczone buty. Jak zwykle przy nim mąciło się jej w głowie, lecz udawała, że pilnie słucha.

- Wszyscy są pełni podziwu, że zdobyłaś się na telefon do stanowego wydziału zdrowia.

- Telefon to pestka. Trudniej było przekonać dyrektorkę, że padlina zagraża zdrowiu publicznemu.

- Ale udało się.

- Tak. Natychmiast usunięto padlinę.

- Koniec świńskiego pata i punkt zapalny wygaszony. Jesteś niezwykła.

Ellin bała się zatonać wzrokiem w zdradliwej głębi jego oczu, więc nie zareagowała na komplement i dalej z zapalem szorowała płamę na ceracie.

- Każdy mógł to zrobić - rzekła skromnie.

- Ale nikt nie kiwnął palcem. Każdy się wykręcał.
- Bo nie pomyślano o oczywistym rozwiązaniu.
- Ludzie nie mogą się nadziwić, że ty na to wpadłaś.
Uważają, że chyba nie jesteś taka zadufana w sobie, jak powiadano.

- O, to mi ulżyło i od dziś będę spać spokojnie.
- Pokazałaś, co i jak należy zrobić, więc może następnym razem nie będzie takiego odbijania piłeczki.

- Przyznasz mi jakiś order za zasługi?

Nonszalancja pomaga, gdy pragniemy coś ukryć, a Ellin nie chciała okazać Jackowi, że pochwała z jego ust liczy się najbardziej. Zresztą uważała, że na żartobliwej stopie łatwiej będzie przetrwać spotkania nieuniknione w małym mieście.

Gdy Jack lekko oparł się o stół, znowu poczuła zapach cytrynowej wody kolońskiej.

- Nie zdajesz sobie sprawy, ile się zmieniło po twoim przyjeździe. I ile się zmieni. - Wyjął jej z ręki ścierkę i podał filiżankę herbaty. - Pijmy za zmiany.

Zgodnie wypili toast.

Jack patrzył jakoś zagadkowo, więc Ellin umknęła wzrokiem. Nie pojmowała, dlaczego dopatruje się w jego słowach ukrytego znaczenia i dlaczego oblewa ją żar od stóp do głów. Chciała ugasić wewnętrzny ogień zimną herbatą, lecz nie mogła przełknąć ani pół łyka. Gardło miała ściśnięte, w uszach huczało, w głowie się kręciło. Na ułamek sekundy zapomniała, że nie są sami i ogarnęła ją chęć, by wsunąć ręce pod zielony sweter i przytulić się do Jacka. Nie tylko przytulić...

Zamarła przerażona, że nie panuje nad myślami, które mogą odbić się na twarzy. Co się dzieje? Nigdy nie była kochliwa, a tu stale myśli o jednym. Może to objaw groźnej choroby? Jest w wieku balzakowskim, a reaguje jak podlotek, mimo że od lat doskonalili charakter i opanowanie. Uczucia,

jakich teraz doznawała, bardzo ją irytowały, bo przeszkadzały w dążeniu do celu.

Z racji uprawianego zawodu spotykała się z wieloma błyskotliwymi, utalentowanymi mężczyznami. Miała wielu adoratorów, bywała zakochana, ale nawet mąż nie wzbudzał w niej tak silnego pożądania. Trzeba się opamiętać! Za trzy miesiące wyjedzie stąd i będzie się zastanawiała, co ją opętało, dlaczego pewien nauczyciel tak nieodparcie ją pociągał.

Bardzo go lubiła, lecz nie chciała angażować się tylko po to, żeby później rozpaczać. Poza tym powinna pamiętać, że jest matką i ma obowiązki rodzicielskie.

Jack, który widocznie rozumiał, co się z nią dzieje, pochylił się i szepnął tak, aby nikt nie słyszał:

- Jeżeli ciśniesz kamień do oceanu, to zniknie bez śladu. Ale jeśli wrzucisz do stawu, powstaną fale, które dotrą do brzegu i zmoczą wszystkich, którzy akurat tamtędy spacerują.

Te słowa wpłynęły kojąco na jej udręczone serce. Bała się tylko, że Jack odgadł jej myśli. Nie mogła dłużej słuchać jego filozoficznych dygresji. Bez słowa odwróciła się, odszukała Lizzie, wzięła płaszcz i wybiegła w ciemną noc.

Do Jacka podeszła zmartwiona Jana.

- Braciszku?

- Słucham?

- Przegrałeś...

- Wręcz przeciwnie. - Uśmiechnął się na wspomnienie tego, co wyczytał w rozpalonych oczach Ellin. - Poszło mi lepiej, niż się spodziewałem.

Nie zdradził, co mu groziło i co grozi w przyszłości.

- Straciłeś cały tydzień.

- Nic nie straciłem.

- Czas ucieka.

- Dogonię go. - Wyprostował się. - Kobieto małej wiary, nie doceniasz mojego wdzięku i władzy nad płcią piękną.

- Hm, widywałam cię w akcji... Może jesteś genialnym anglistą i pisarzem, ale z matematyki zawsze byłeś kiepski. Boję się, że przeceniasz swoją władzę i źle obliczyłeś siły.

Przez dwa tygodnie Ellin miała wystarczającą ilość materiału na wypełnienie ośmiu stron tygodnika. Zaczęły się rozgrywki piłki nożnej i szkoły walczyły o pierwsze miejsce. Miłośnicy sportu zapomnieli o całym świecie, interesowało ich wyłącznie to, kto strzeli decydującego gola w ostatnim meczu.

Redaktor sportowy wpadał do redakcji codziennie, o różnych porach. Ellin bardzo dbała o szczegóły, a Jack nie grzeszył nadmiernym przywiązaniem do drobiazgów. Wyznawał zasadę: „pracuję, żeby żyć”, stanowiącą przeciwieństwo maksymy Ellin: „żyję, żeby pracować”. Nic więc dziwnego, że jego beztroskie traktowanie terminów bardzo ją irytowało. Dochodziło do sprzeczek, padały przykre epitety, wyzwiska.

We wtorek doszło do kolejnego spięcia, ponieważ Jack nie mógł znaleźć w plecaku notatek, które miały ukazać się w środowym numerze.

- Obiecałeś, że przyniesiesz w poniedziałek - wypomniała mu Ellin. - Owen czeka od wczoraj.

- Nie denerwuj się. Na pewno tu są, ale diabeł nakrył je ogonem.

- Masz w domu porządną aktówkę?

- Po co? - Popatrzył na sfatygowany plecak. - To mi wystarcza. - Wzruszył ramionami. - Jednak nie ma notatek, pewnie zostawiłem w szkole. Napiszcie coś innego, a mój felieton zamieścimy w przyszłym tygodniu.

- Najpierw sama sprawdzę!

Wyrwała mu plecak i zaczęła równiutko układać na biurku zawartość: wypracowania uczniów, pióra i długopisy,

poczerniały banan, tomik wierszy Poe'go, dropsy cytrynowe, chusteczki higieniczne.

- Wiesz, mam motto dla ciebie - syknęła ze złością.

- Jakie?

- Zapomniałam, jak to jest po łacinie, ale podobne do tego, że co się odwlecze, to nie uciecze.

- Przypomnij sobie i wyhaftuj mi na makatce. Powieszę...

- Jesteś beznadziejny! O, mam!

Wyciągnęła pomiętą kartkę, wygładziła i z triumfalną miną położyła na biurku.

- Mylisz się. Jestem istnym źródłem nadziei. Chcesz wiedzieć, jakie powinno być twoje motto?

Wiedziała, że pożałuje, lecz nie oparła się pokusie.

- Chcę.

- Pańskie oko nie zawsze konia tuczy.

- Co w tym złego, że wszystko sprawdzam? Życie jest za poważne, żeby lekko je traktować.

- Szanowna pani znowu się myli. - Jack niedbale zgarnął swoje rzeczy i wrzucił do plecaka. - Życie jest za krótkie, żeby brać je na serio. Do widzenia. - Przy drzwiach odwrócił się. - Dziś w Hilldale jest mecz. Pójdiesz ze mną? Możemy przytulić się, coś schrupać.

- Brzmi to nader zachęcająco, ale nie skorzystam.

Jaki ten człowiek jest: nieuleczalnie tępy czy zarozumiały? Ile razy jeszcze będzie musiała odrzucać jego propozycje?

- Może przed meczem wpadnę odwiedzić twoją babcię.

- Miłosierne uczynki są zapisywane w niebie.

Jack wybuchnął śmiechem, więc rzuciła w niego ołówkiem, ale zdążył wyskoczyć za drzwi.

Był niemożliwy, lecz budził sympatię. Szkoda, że nie mogła pozwolić sobie na przekroczenie granicy, za którą sympatia przeradza się w ryzykowne uczucie. Wznosiła coraz

wyższy mur obronny, lecz każde spotkanie było sprawdzianem psychicznej wytrzymałości.

Jack kilkakrotnie odwiedził panią Boswell w domu. Zawsze zjawiał się z jej ulubionymi cukierkami i jakimś drobiazgiem dla Lizzie. Czasem miał też coś dla psa. W stosunku do Ellin był serdeczny, ale nie nadskakujący, co bardzo jej odpowiadało. Mimo to miała cichy żal, że jest poza nawiasem jego hojności. Nawet przed sobą nie przyznawała się, że czeka na te wizyty z większym utęsknieniem niż babcia i córka.

Lizzie okleiła kolorowym papierem pudło po butach i w nim przechowywała prezenty od Jacka. Często oglądała swe skarby: złoty okruch pirytu, szkarłatne piórko kardynała, drobną monetę z głową Indianina, miniaturową książeczkę z bajką, zaczarowany klucz Świętego Mikołaja.

Ellin czuła, że dziecko bardziej ceni ofiarodawcę niż podarki i już niepokoiła się, że za trzy miesiące córka będzie nieszczęśliwa.

Gdy Jack naprawiał coś w domu, Lizzie chodziła za nim krok w krok, patrzyła w niego jak w obraz i z przejęciem słuchała wyjaśnień, na czym polega różnica między kombinerkami Philipa a starymi. Uwielbiała, gdy czytał bajki, więc nowe książki zostawiała dla niego. Uczucie, jakim go darzyła, przeradzało się w bezgraniczne uwielbienie, czego najlepszym dowodem była prośba, żeby naprawił zabawkę.

- Ja zszyję pieska - zaproponowała Ellin.

- Nie. Poproszę wujka, bo jest przyjacielem Świętego Mikołaja, który dał mi pieska.

Jack pozwolił jej nawlec igłę, co potem długo wspominała. Po zaszyciu dziury wyszukał w słoiku guzik w kształcie serca i przyszył psu na piersi. Lizzie wpadła w zachwyty, a Ellin poczuła się jak bezmyślna i nieoczytana

matka. Jej nie przyszłoby do głowy, żeby przyszyć psu takie serce.

Dziewczynka przywiązała się nie tylko do Jacka, ale i do jego siostrzeńców. Uwielbiała panią Kendall i niechętnie wracała do domu, więc Ellin coraz częściej martwiła się o przyszłość.

Jedyne uczucie, jakie nie budziło jej obaw, to miłość dziecka do prababci. Pani Boswell była zbyt słaba, żeby bawić się z prawnuczką, ale poświęcała jej dużo czasu. Często przeglądały stare albumy z fotografiami. Lizzie wyprosiła zdjęcie matki jako małej dziewczynki i dołączyła je do swych skarbów.

Ellin żałowała, że po rozwodzie rodziców pozbawiono ją kontaktów z ojcem i babką. Winę za emocjonalnie ubogie dzieciństwo mogła zrzucić na matkę, lecz nie miała żadnego usprawiedliwienia zaniedbań przez ostatnie dwadzieścia lat. Gdy dorosła, powinna była sama dbać o rodzinne kontakty. Nawet miała zamiar to zrobić, ale tak długo odkładała na później, aż zrobiło się za późno. Nie mogła cofnąć czasu i odzyskać tego, co utraciła i o czym dopiero teraz się dowiedziała.

Po powrocie z Shady Acres pani Boswell kazała wyjąć spod łóżka bombonierkę. Były w niej związane błękitną wstążeczką koperty, które znalazła po śmierci syna.

Ellin zabrała bombonierkę do swojego pokoju i późnym wieczorem ponownie przejrzała korespondencję. Okazało się, że ojciec przechowywał listy od niej. Ze ściśniętym sercem myślała o tym, jak niedbale wybierała kartki, gryzmoła pozdrowienia, wrzucała do skrzynki i natychmiast zapominała. Rozplakała się z żalu i wstydu, bo nie dotrzymała żadnej obietnicy. Kartki stanowiły przypomnienie, jak bardzo zawiniła wobec ojca.

Na jednej napisała: Przepraszam, że nie mogę odwiedzić cię w dniu urodzin. Może uda mi się w przyszłym roku. Na innej: Tęskniłam za tobą przez całe święta. Albo: Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Przykro mi, że źle się czujesz. Jestem myślami przy tobie i życzę powrotu do zdrowia.

Czy naprawdę myślała wtedy o ojcu? Raczej o sobie. Zresztą słowa to żałośnie mało. Teraz okazało się, że ojciec nawet nie napomknął o raku, bo nie chciał jej martwić. Nie miała nic na usprawiedliwienie swego egoizmu! Powinna była odwiedzić ojca. Teraz za późno, żeby naprawić krzywdę, ale widok Lizzie z prababcią trochę łagodził ostre wyrzuty sumienia.

Dla ojca nie mogła już nic zrobić, lecz mogła być z babcią, przynajmniej przez kilka tygodni. Później dotrzyma wszystkich obietnic i będzie często przyjeżdżała w odwiedziny. Widziała, jak staruszka cieszy się, że ma komu opowiadać historyjki z dzieciństwa i pokazywać, jak robi się ciasto lub przyrządza czekoladę.

Ellin była wdzięczna losowi, że zepchnął ją z drabiny, na którą tak egoistycznie się wspinała, i przywiódł do miasteczka w innym świecie. Przed przyjazdem sądziła, że tu odetchnie i nauczy prowincjuszy, jak wydawać gazetę, a tymczasem sama się uczyła. Jack delikatnie uświadomił jej, że jest wiele sposobów na osiągnięcie pełni życia.

Stosunek Jacka do Ellin nie uszedł uwagi pani Boswell, która otwarcie poprosiła wnuczkę, by nie igrała z uczuciami „tego miłego chłopca”. Jako przykład dała roślinę, która przez lato oplotła krzew tawuły. Przyznała, że gdy kwiaty wilca purpurowego otwierają się do słońca, widok jest zachwycający, ale to piękno trwa przez jeden sezon, a tawuła rośnie przez wiele lat. Gdyby pnącze mogło rozwijać się bez przeszkód, wkrótce oplotłoby tawułę, a jego ciężar przygniótłby krzew i go zniszczył. Dlatego trzeba poświęcić

chwilowe piękno jednej rośliny na rzecz drugiej, która długo cieszy oko.

Ellin zrozumiała aluzję, ale nie podobało się jej porównanie z zaborczym pnączem. Zaczynała dostrzegać głębokie zakorzenienie Jacka w społeczności miasteczka. Miasteczko stanowiło świat sam w sobie, ale ona wolała żyć poza tym bezpiecznym kokonem.

W marcu stąd wyjedzie, natomiast Jack zostanie tu być może do końca życia. Nie rozumiała go, ale tak to właśnie wyglądało. Ona miała dalekosiężne plany i dziecko, o którego dobrobyt musi zadbać. Trzeba zapomnieć o uczuciach i myśleć wyłącznie o przyszłości. Pragnęła dać Lizzie wszystko, a to kosztuje. Dlatego musi znaleźć dobrze płatną pracę i musi trzymać czarującego Jacka na dystans. Nie dopuści, by ją omotał. Dzięki temu oboje unikną rozczarowania.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Owen od rana czekał na sprawozdanie z meczu koszykówki, bez którego nie mógł wydrukować kolejnego numeru „Post - Ette”. Po raz pierwszy od ośmiu lat Żbiki doszły do finału. Wagi tego wielkiego wydarzenia nie umniejszał fakt, że drużyna początkowo straciła trzy punkty, ale mimo to zajęła drugie miejsce w turnieju.

- Jakie to dziwne - mruknął Owen. - Jack zawsze przynosił wszystko na czas. Coś trzeba zrobić...

Jack nie nosił zegarka i funkcjonował według jakiegoś swojego wewnętrznego czasu, który niestety nie pokrywał się z żadną strefą czasową na świecie. Dlaczego akurat dzisiaj tak się spóźniał?

Ellin znowu spojrzała na zegar i sapnęła ze złości. Była mocno nie w sosie, ponieważ Lizzie obudziła ją o szóstej rano. Nie tylko obudziła. Ledwo weszła do łóżka mamy, dostała torsji. Po takiej pobudce Ellin myślała, że już nic gorszego jej nie spotka, a tymczasem był to dopiero początek nieszczęść.

Umyła rozpalone dziecko, podała aspirynę na zabicie temperatury, zmieniła pościel, brudną wrzuciła do pralki. Jak na złość, pralka popsowała się i mydliny zalały całą podłogę. Ellin załamała rękę.

- Nie dramatyzuj - rzekła pani Boswell ze stoickim spokojem. - Zaraz wezwę fachowca do pralki i wyleczę Lizzie. Taka choroba na pewno do jutra przejdzie.

Mimo pocieszenia Ellin była niespokojna. W Chicago, gdy dziecku coś dolegało, brała zwolnienie lekarskie, lecz w Waszyngtonie było to niemożliwe.

Tuż przed wyjściem do pracy okazało się, że zaginęło kółko do kluczy. Po długich poszukiwaniach znalazła je w skarbcu Lizzie. Chcąc nadrobić stracony czas, zarobiła mandat, ponieważ kusząc los, wpadła w Main Street z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę zamiast

przepisowych czterdziestu. Dotąd beczynny policjant ucieszył się, że złapał przestępcę stanowiącego śmiertelne zagrożenie dla obywateli cichej miejsciny.

Ellin wbiegła do redakcji spragniona kawy i od razu podeszła do ekspresu. Nie było ani kropli! Musiała czekać, więc zajrzała do swojej przegródki i sprzątnęła z biurka ślady kolacji Owena. Przez cały dzień ratowała się kawą, żeby nie usnąć.

Teraz siedziała jak na szpilkach, bo już dochodziła czwarta, a nie było Jacka. Chciała jak najprędzej jechać do domu i zdecydować, czy trzeba wezwać lekarza. Denerwowała się, że jeżeli w ciągu godziny nie przygotują ostatniej strony, nazajutrz nie będzie można rozesłać tygodnika prenumeratorom. A coś takiego nie może się zdarzyć! Ellin Bennett zawsze mieściła się w terminach. Człowiek, który nie potrafi na czas zredagować ośmiostronicowego tygodnika, powinien zrezygnować z dziennikarstwa i zająć się wyplataniem koszyków.

- Co robimy? - nieśmiało zapytał Owen.

- Jeszcze raz spróbuję złapać Jacka.

Już dwukrotnie kontaktowała się ze szkołą i prosiła, żeby pan Madden zadzwonił, ale Jack nie raczył się odezwać. Tym razem powiedziano jej, że akurat zaczęła się próba teatralna i nauczyciel będzie zajęty do ósmej.

Ellin zakłęła w duchu, ponieważ tak długo nie mogli czekać. Bała się, że wpadnie w obezwładniającą panikę. W Chicago stale towarzyszył jej stres, ale tutaj odzwyczaiła się od życia w niezdrowym napięciu. Zdołała opanować się, wypytała Deanie o wyniki rozgrywek, włączyła komputer i przygotowała krótkie, suche sprawozdanie z meczu. Zadowolona z siebie podała wydruk Owenowi.

- Naprawdę mam to zamieścić? - spytał, nieufnie patrząc na tekst.

- Nie widzę innego wyjścia.

Pomstowała na Jacka za to, że postawił ją w nieprzyjemnej sytuacji. Jego lekceważenie terminów świadczyło o przechodzącym granice przyzwoitości braku kompetencji. Poważnie zastanawiała się, czy nie powinna zwolnić wolnego strzelca.

- Zamieścimy też ten dłuższy opis przyjęcia z okazji setnej rocznicy urodzin pani Mabel Howard. Damy też relację jej wnuczki i dzięki temu jakoś zapełnimy szpalty.

- Tak jest, szefowo.

Czuła, że dusi się ze złości, więc aby nie wybuchnąć, zadzwoniła do domu.

- Jak Lizzie się czuje?

- Dużo lepiej. Zjadła trochę zupy, nic nie zwymiotowała i teraz ogląda film rysunkowy. Siedzi w koronie, otoczona zabawkami, więc chyba jest zdrowa.

- Kamień spadł mi z serca.

Mimo to nie uspokoiła się do końca, ponieważ bardzo serio traktowała obowiązki matki. Przed laty sądziła, że nie posiada instynktu macierzyńskiego, więc nie chciała mieć dzieci. Po przyjściu Lizzie na świat, wszystko się zmieniło. Wprawdzie zdarzały się chwile, gdy nadal wątpiła w swe rodzicielskie kwalifikacje, ale już nie wyobrażała sobie życia bez ukochanej jedynaczki.

Byłego męża nie zachwyciła perspektywa zostania ojcem w pierwszym roku małżeństwa. Zarzucał Ellin, że to ona zawiniła, bo jest roztargniona. Lekarz uspokoił ją i wyjaśnił, że w związku z przebytą gripą mogło nastąpić zaburzenie cyklu.

Andrew ostatecznie pogodził się z nieuniknionym, lecz nadal praca zawodowa była najważniejsza. Gdy Lizzie miała sześć miesięcy, zaproponowano mu wyjazd do Libanu. Skwapliwie skorzystał z okazji i wrócił dopiero po półtora

roku. Ich związek w zasadzie już się rozpadł, więc jedynie załatwili formalności prawne.

Oboje byli zbyt pochłonięci pracą i zbyt samolubni, by się kłócić. Nie mogli nawzajem się obwiniać, ponieważ nie uczynili nic, aby utrzymać małżeństwo. Stale z sobą rywalizowali, chcieli nawzajem się prześcignąć. Ich związek nie opierał się na wielkiej miłości, toteż rozwiedli się spokojnie, bez bólu.

Rano Lizzie obudziła się zdrowa jak ryba. Dzieci Jany też miały jakąś niedyspozycję żołądkową, ale również ich choroba szybko minęła. Widocznie wirus był słaby, dokuczał tylko przez jeden dzień.

Niezadowolenie prenumeratorów okazało się bardziej złośliwe niż wirus. Największym gniewem pałali rodzice koszykarzy i znajomi znajomych, których synowie grali w koszykówkę. To zaś oznaczało, że obrazili się prawie wszyscy mieszkańcy Waszyngtonu.

Ledwo Ellin przekroczyła próg, Owen poinformował ją grobowym głosem, że już było kilka telefonicznych zażaleń i dzwoniący ostro krytykują suche sprawozdanie z meczu. Deanie w tej chwili znowu słuchała pretensji. Ellin naląła sobie kawy i ciężko opadła na krzesło.

- To moja wina - rzekła ponuro.

Deanie odłożyła słuchawkę.

- Kto dzwonił?

- Pani Jackson. Jest rozżalona, bo nie wspomnieliśmy o szesnastu punktach, które jej syn zdobył w poniedziałek.

- Co jej powiedziałaś?

- To samo, co innym. Że jestem tylko sekretarką i nie mam żadnego wpływu na treść artykułów. Odesłałam ją do redaktora naczelnego, więc niestety dobiecze się tobie do skóry. To samo mówiłam mamie Lloyd'a Davisa, ojcu Pete'a Johnsona i wujowi Mike'a Miellera.

- Och!

- Grupa zapalonych kibiców wścieka się, bo nie pochwaliliśmy ich nowej piosenki.

- Następnym krytykantom mów, że wczoraj na polu wylądowali kosmici i porwali mnie razem ze snopkami pszenicy.

- Teraz jest zima...

- Przecież żartuję.

- Aha.

Ellin przypomniała sobie pasujące do obecnej sytuacji porównanie o kamyku wrzuconym do stawu. Rzeczywiście powstała duża fala, która i ją obryzgała. A wszystkiemu winien Jack! Gdyby był solidny i przyniósł reportaż, nie wpadłaby w takie tarapaty. Przysięgła sobie, że gdy tylko nauczyciel angielskiego pojawi się na horyzoncie, bez ogródek powie, co o nim myśli.

Nie musiała długo czekać. O dziesiątej Jack wkroczył do redakcji, wymachując egzemplarzem „Post - Ette”.

- Co się stało z moim reportażem? - zawołał od progu.

- O, witam, panie Madden - syknęła Ellin jadowitym tonem. - Na to pytanie sama chciałabym znać odpowiedź. I połowa tutejszych fanatyków sportu.

- O czym ty mówisz?

Zdjął płaszcz i niedbale rzucił na szafkę. Był w zielonej koszuli ze sztruksu i w spodniach pod kolor.

- Czy wczoraj nie przekazano ci, że dzwoniłam?

- Nie, nikt mi nic nie mówił. - Uderzył się dłonią w czoło.

- Nie zajrzałem do mojej przegródki.

- My do naszych zawsze zaglądamy, ale były puste. Prawie do piątej czekaliśmy na twój tekst.

- Czekaliście? Przecież zostawiłem na twoim biurku. Wpadłem tu w drodze do szkoły. Nie miałem czasu wprowadzić go do komputera, ale był gotowy na papierze.

- Nie dam się nabrać, bo nic nie znalazłam.

Jack zupełnie nie rozumiał, o co chodzi, lecz w głosie i oczach Ellin była ostra nagana. Zabolalo go to, że Ellin niesłusznie się gniewa. Nie popełnił zarzuconej mu zbrodni i musi udowodnić, że jest niewinny. Wiedząc, że słowa nie wystarczą, rozrzucił papiery, które Ellin pedantycznie ułożyła na biurku. Nie znalazłszy sprawozdania, wysypał z kosza wszystkie śmieci.

Deanie rzuciła okiem na Ellin, zorientowała się, że będzie awantura i uciekła, żeby nie dostać się w ogień krzyżowy.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknęła Ellin. - Posądzasz mnie, że wyrzuciłam twój głupi tekst, żeby mieć przeprawę z niemądrymi mamuškami?

- O to cię nie posądzam. Ale zawiniło twoje obsesyjne zamiłowanie do porządku, a nie ja.

- Też wymyśliłeś!

Zrobiła obrażoną minę i ostentacyjnie skrzyżowała ręce na piersi. Niebawem oczy niemal wyskoczyły jej z orbit, gdy Jack wyciągnął coś i zawołał:

- No, proszę! Jest!

Wyglądził pudełko po popcornie, na którym widniało jego staranne pismo, i pomachał Ellin przed nosem.

- Co to za śmieć?

- Nie żaden śmieć, tylko moje refleksje z meczu. Zostawiłem na biurku, a ty wyrzuciłaś do kosza.

- Świat nie widział, ludzie nie słyszeli, żeby przynosić sprawozdanie na pudełku! - zawołała zgorszona. - Zauważyłam parę twoich niedociągnięć, ale żeby pisać na starym opakowaniu?

- Musiałem, bo rozgorączkowany sąsiad niechcący oblał mój notes sokiem. Wziąłem, co miałem pod ręką, i reportaż jest trochę słony, ale czytelny.

- A ja myślałam, że Owen znowu jadł kolację przy moim biurku i dlatego nawet nie spojrzałam, co jest po drugiej stronie.

- Wolałaś założyć, że jestem niepoważny i lubię sprawiać zawód?

Patrzył na nią z takim wyrzutem, że ogarnęły ją bardzo sprzeczne uczucia.

- Przepraszam. Powinnaś wiedzieć, że nie wystawisz nas do wiatru. Ale pisanie na starym pudełku przechodzi moje pojęcie.

- Chciałem na gorąco notować reakcje kibiców.

- A ja jestem w gorącej wodzie kąpana... - Przeczytała artykuł i uśmiechnęła się zażenowana. - Świetny. Sto razy lepszy niż opis urodzin staruszki. Nawet skomentowałaś nowe okrzyki i piosenki kibiców.

- Bo chłopcy wpadli na oryginalny pomysł. Ellin ukryła twarz w dłoniach i głucho jęknęła:

- Wszyscy mnie znienawidzą.

- Możesz powiedzieć, że to moja wina.

- Cooo? Miałabym rzucić cień na twoją nieposzlakowaną opinię? Nie, wolę sama stanąć oko w oko z rozwścieczonymi czytelnikami.

Jack przysunął krzesło, usiadł i wziął ją za rękę.

- Powinnaś mi ufać. Musisz uwierzyć, że nie zrobię nic, co by pokrzyżowało ci plany lub zdenerwowało. Za nic nie postawię cię w złym świetle. To nie leży w mojej naturze.

Ellin bezskutecznie usiłowała cofnąć rękę.

- Skoro nie zgłosiłem się mimo monitów, trzeba było przyjechać do szkoły. Czemu tego nie zrobiłaś? Mogłaś przysłać Owena lub kogoś innego.

- Nie przyszło mi do głowy. Twoim obowiązkiem było dostarczyć relację, więc myślałam...

- Że pokpiłem sprawę?

- Nooo...taak - przyznała niechętnie.

Jack ujął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Wyciąganie wniosków nie jest najlepszym ćwiczeniem gimnastycznym.

- Wiem... Psiakrew! Ludzie są wściekli na mnie.

- Przejmujesz się nimi?

- Tak, przejmuję się. Bardziej mi odpowiadało, gdy uważano, że jestem królową dziennikarzy.

- Pocieszysz cię, jeśli powiem, że ja nadal tak uważam? Ellin wyrwała rękę i złapała ostro zatemperowany ołówek jako broń przed niebezpiecznym natarciem.

- Pewnie wieśniacy już tu idą z widłami.

- Wątpię. W Arkansas grzeszników tarza się w smole i pierzu.

Ellin wyrwało się westchnienie świadczące o tym, jak jest wyczerpana. Jack stanął za nią i pomasaował jej kark.

- Przestań! - pisnęła cienkim głosem.

- Najpierw wyduszę z ciebie trochę złości. Odpręż się. Mięśnie masz twarde jak postronki.

- Nie twoje zmartwienie. Jakim prawem dotykasz moich mięśni? Niech sobie będą twarde.

Nie protestowała jednak zbyt stanowczo. Głowa jej opadła, odsłaniając smukłą szyję. Po chwili Ellin jęknęła raz i drugi, co Jacka zupełnie rozbroiło. Zastanawiał się, czy ona ma taką jedwabistą skórę od stóp do głów i twarde mięśnie, ale miękkie ciało. Poczł zapach jej włosów i przypomniał sobie smak ust. Nie dokończył masażu i odsunął się, żeby nie zrobić czegoś nierozsądnego, co zniweczyłoby dotychczasowe osiągnięcia.

- Wygodniej byłoby zrzucić winę na ciebie, ale mam zwyczaj ponosić odpowiedzialność za swoje czyny. - Aby nie patrzeć na niego, zajęła się układaniem rozrzuconych kartek. -

Skoro wszystko wiesz, może poradzisz mi, jak wyjść z tego obronną ręką?

Jack był zadowolony, że nieporozumienie rozeszło się po kościach i Ellin złagodniała. Jeśli masaż ramion wywołał taką ciekawą reakcję, jaki będzie efekt masażu całego ciała?

- To proste jak słońce. Daj ludziom do zrozumienia, że mój artykuł został przeoczony. Wszyscy to rozumieją, bo każdy się myli, nawet królowe dziennikarzy. Wydrukujecie go w przyszłym tygodniu...

- Ale wtedy to będzie starość, nie nowość.

- Może na szerokim świecie, ale nie tutaj. Rodzice koszykarzy zachowają na pamiątkę wycinek bez daty i wszyscy będą zadowoleni.

- A mój honor uratowany?

- Nikt go nie kwestionował.

Wróciła do domu później niż zwykle i już w przedpokoju poczuła smakowite zapachy.

- Babciu, czemu nakryłaś na cztery osoby? - spytała zaskoczona. - Będzie gość na kolacji?

- Owszem.

Opierając się na balkoniku, pani Boswell wyciągnęła z piekarnika przyrumienionego kurczaka i poliała tłuszczem. Ellin zajrzała do dwóch garnków.

- O, ziemniaki i groszek. Już ślinka mi leci.

- Kto przyjdzie? - zainteresowała się Lizzie. - Wujek Jack? Babciu, powiedz, że wujek.

Ellin wstrzymała oddech. Byle tylko nie Jack. Wspomnienie tego, jak zareagowała na masaż, utrudni, jeśli nie uniemożliwi, przełknięcie choćby kęsa.

- Zgadłaś, kochanie. Wujek obiecał, że naprawi pralkę, a za taką przysługę wypada odwdzięczyć się co najmniej kolacją. Biedny kawaler pewnie rzadko jada domowe posiłki.

Lizzie klasnęła w ręce.

- Hurra! Przyniosę książkę, bo wujek na pewno będzie chciał mi poczytać.

- Kochanie, wujek przyjdzie naprawić pralkę - mitygowała ją Ellin. - To zajmie tyle czasu, że nie będzie mógł ci czytać.

Miała nadzieję, że właśnie tak się stanie. Pani Boswell rzuciła wnuczce przenikliwe spojrzenie i powoli wytarta ręce w fartuch.

- Na pewno poczyta, bo mówił, że ma wolny cały wieczór.

- Aha.

- Zaraz powinien tu być, ale zdążysz się przebrać.

- Po co? - zdziwiła się. - Jestem źle ubrana?

- Bardzo dobrze do pracy, ale nie na wieczór, gdy ma przyjść gość.

- Jack nie jest moim gościem.

- Niby tak. - Starsza pani mrugnęła rozbawiona. - Ale jest naszym gościem, prawda, Lizzie?

- Tak. - Dziewczynka podbiegła i popchnęła matkę w stronę drzwi. - Włóż bluzkę z falbankami. Jest ładna.

Pół godziny później Ellin siedziała naprzeciw gościa. Czuli się nieswojo w jedwabnej bluzce z falbankami z przodu i na rękawach i żałowała, że bluzka nie zginęła podczas przeprowadzki. Ze złości, że się stroi, upięła włosy w ciasny kok i teraz szpilki kłuły ją przy każdym ruchu głowy.

- Pani Ido - odezwał się Jack - jestem pełen uznania dla pani kunsztu kulinarnego. Mięso rozpływa się w ustach. Nie jadłem lepszego kurczaka, nawet u mamy. Czy przepis jest objęty ścisłą tajemnicą?

- Skądże. Wystarczy posolić, natrzeć rozmarynem i majerankiem. Ot, i cały sekret.

- Pyszne mięso, prawda? - zwrócił się Jack do Ellin.

- Co? - Zarumieniła się, bo przyłapał ją na tym, że wpatruje się w znaczek wyhaftowany na gorsie wykrochmalonej koszuli. - A, kurczak. Tak, bardzo smaczny.

- Co z waszą sztuką? - zapytała gospodyni.

- Tak, jak co roku. Dwa tygodnie przed premierą uważam, że będzie zupełna klapa. Tydzień przed premierą zaczną się łudzić, że jednak jakoś pójdzie. Podczas próby generalnej wszyscy nagle zaczną dobrze grać i odniesiemy sukces. Mam nadzieję, że zrobi pani nam zaszczyt i przyjdzie.

- Oczywiście. Nawet gdybym miała przyjechać karetką. Przecież co roku chodzę na występy twoich uczniów. Co tym razem wystawiacie?

- „Raymonda i Julianę”, przeróbkę „Romea i Julii”. Akcja rozgrywa się w wiosce w naszych stronach, w dziewiętnastym wieku.

- Tytuł jakoś nie obił mi się o uszy - zdziwiła się Ellin. - Kto to napisał?

- Moja najlepsza klasa.

- Na pewno z twoją wydatną pomocą. - Starsza pani poklepała go po ręce. - Zeszłoroczna komedia była świetna. Ludzie długo ją wspominali.

Ellin wybałuszyła oczy. Jack pisze sztuki? Co on jeszcze potrafi? Jest nauczycielem, dziennikarzem, strażakiem, specem od pralek. Ciekawe, jakie ma hobby. Może w wolnym czasie trepanuje czaszki?

Po kolacji panie zmyły naczynia, a Jack przeczytał Lizzie jedną bajkę. Ledwo Ellin położyła dziecko spać, pani Boswell oznajmiła, że też się kładzie.

- Babciu, dopiero ósma!

- Widocznie przeceniłam siły i dlatego czuję się wyjątkowo zmęczona. Jeszcze nie jestem w formie. Dobranoc, kochani.

Ellin niechętnie zaprowadziła Jacka do pomieszczenia, w którym stała pralka. Jack rozebrał się i został w koszulce z krótkimi rękawami, ciasno opinającymi bicepsy. Ellin zdziwiła się, że pisanie na tablicy tak dobrze wpływa na rozwój mięśni. Czowała, że traci głowę... Jack odsunął pralkę od ściany, otworzył pudło z narzędziami i zaczął majstrować. Czasem prosił o podanie narzędzia lub potrzymanie lampy. Ellin wykonywała polecenia jak automat i patrzyła, nic nie widząc, słuchała, nie słysząc. Nagle ocknęła się.

- Co?

Jack o coś zapytał, lecz o co? Pewnie znowu prosił o jakieś narzędzie.

- Podaj mi taśmę.

- Proszę.

Gdy ich palce się zetknęły, Ellin przeszył prąd. Jak to możliwe? Odsunęła się jak oparzona i obronnym gestem skrzyżowała ręce na piersi. Ogarniało ją podniecenie nie do opanowania. Powinna przeprosić, uciec i zabarykadować się w pokoju. A tymczasem nogi jakby wrosły w podłogę i nie mogła się ruszyć. Jack otrzepał ręce i wstał.

- No, chyba naprawiłem, ale lepiej sprawdzić, czy działa.

- Rozejrzał się i zauważył kosz na brudną bieliznę. - O, jest coś do prania.

- Jeszcze tylko tego brakowało, żebyś prał nasze brudy. Przypomniała sobie, że w koszu jest jej bielizna, ale już nie zdążyła usunąć. Jack wrzucił brudy, wsypał proszek i zamknął pralkę.

- Znowu czegoś się dowiedziałem. - Zaśmiał się gardłowo. - W marzeniach o tobie... a sporo ich... zawsze widziałem cię w drogich jedwabkach, a tymczasem nosisz zwykłą bawełnę.

Ellin spłoszyła i zamierzała wybuchnąć gniewem, ale złość jakby wyparowała. Czy to znak, że powinna ulec impulsom?

Tak!

Nie namyślając się, wsunęła ręce pod koszulkę, objęła Jacka i przytuliła się. Jack nie pozostał jej dłużny, też ją objął, ale mocniej. I pocałował. Jak pocałował! Oboje zadrżeli. Pieszczoty koło pralki nie figurowały w romantycznych planach Jacka, lecz uznał, że spontaniczność leż ma urok. Posadził Ellin na pralce, którą zdążył włączyć. Po chwili maszyna zaczęła potrząsać siedzącą. Ellin jęknęła. On też.

Nie odrywając się od upojnych ust, zrobił to, o czym marzył już pierwszego dnia: wyciągnął szpilki z włosów, które spłynęły mu na ręce jedwabistym wodospadem. Ellin też zrobiła to, na co od dawna miała ochotę: wsunęła palce w potarganą czuprynę. Czują, że krew zamienia się w lawę. Oboje rozpalili się i pragnęli tego samego, ale Jack uznał, że jeszcze nie nadszedł odpowiedni moment, a przede wszystkim znajdują się w nieodpowiednim miejscu. Niechętnie oderwał się od ust Ellin i wtulił twarz w jej włosy.

- Koniec przyjemności - szepnął.

- Szkoda, ale trochę się zagalopowaliśmy. - Ellin zdobyła się na żartobliwy ton. - Zawrotne tempo, co?

- Tak. Wiesz, chyba przestanę rozwijać młode umysły, a zacznę naprawiać stare pralki.

Wybuchnęli śmiechem. Nagle Ellin przypomniała sobie, że niedługo odjedzie na zawsze, więc odsunęła się, poprawiła bluzkę i podpięła włosy.

- Uprzedzam, że ten incydent niczego nie zmienia.

- Jak to, nie zmienia? - Jack westchnął. - Odtąd będę inaczej patrzył na pralki.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Należy mi się wyjaśnienie. - Jack teatralnym gestem rzucił pomięty egzemplarz „Post - Ette”. - Co to takiego?

Gdyby miał wystawić Ellin ocenę za zachowanie po pamiętnym całusie, dałby najwyższy stopień za chłód, a za nieprzystępność uwagę: „wymaga poprawy”.

Jako istota z natury wrażliwa i delikatna przez kilka dni nie pokazywał się i nie odzywał, aby dać Ellin czas na odzyskanie równowagi. Genetyczne uwarunkowania skłaniały ją ku rządzeniu sobą i bliźnimi, więc zapewne przestraszyła się, że nie utrzymała gwałtownych uczuć na wodzy. Chwilowo straciła panowanie nad sobą, a potem pewnie załamała ręce.

Ale dość tego dobrego.

- O co chodzi? - Z wystudiowaną obojętnością Ellin oderwała wzrok od monitora i rzuciła okiem na gazetę. - To jest artykuł wstępny, czyli coś, co pisze redaktor naczelny.

- Tyle wiem, nie musisz mi tłumaczyć jak pastuch krowie. Ale wyjaśnij, dlaczego ten wstępniak jest nieprzemyślany.

Rano, gdy czytał artykuł, aż zakrztusił się kawą. Nie chciało mu się wierzyć, że Ellin poparła nieznaną spółkę, która chciała otworzyć w Waszyngtonie salę do gry hazardowej.

Nie rozumiał, dlaczego zajęła takie stanowisko, mimo że podczas posiedzenia radnych słyszała, jak gorąco argumentował przeciw projektowi. Niezależnie od tego, pod jakim kątem oceniał artykuł, redaktorskie poparcie sprawiało wrażenie osobistego pojedynku z Jackiem Maddenem.

- Nie widzę tu ani źdźbła lekkomyślności - gniewnie odparła Ellin. - Zasięgnęłam języka na własną rękę i dowiedziałam się, że ta spółka cieszy się dobrą opinią, bo zatrudnia miejscowych i przekazuje część zysków lokalnej społeczności. Jak każde nowe przedsięwzięcie to też zwiększy

wpływy z podatków i zasili budżet miasta. Gołym okiem widać, że Waszyngtonowi przyda się solidny zastrzyk finansowy.

- Widziałem, że robisz notatki... - Jack niecierpliwie poprawił okulary. - I naiwnie sądziłem, że uważnie słuchasz moich wywodów.

On też odrobił pracę domową i zdobył rozeznanie w spornej kwestii. Przedstawił radnym przekonujące dowody, że obcy element zwykle powoduje wzrost przestępczości, mnożą się drobne i większe kradzieże, włamania, napady. Wielu obywateli podzielało jego poglądy i uważało, że nie opłaca się skórka za wyprawkę.

Ellin raczyła odwrócić się i spojrzała mu w oczy.

- Pilnie słuchałam tego, co pan Madden mówił, ale tak się dziwnie składa, że jestem innego zdania. Chyba mam prawo do własnej opinii?

- Prawo! To mi wygląda na wykorzystywanie stanowiska służbowego.

Ellin odwróciła się do niego plecami.

- Chwała ci, Ameryko! - rzekła z ironią. - Kraju, w którym każdy może myśleć, co chce, choćby nie wiem jak nieprawomyślnie.

- Po co to robisz? - drążył Jack. - Twierdzisz, że będziesz tu tylko do końca marca...

- Bo będę. - Niedbale przerzuciła kartki kalendarza. - Już tylko niecałe sześćdziesiąt dni.

Niewątpliwie miała to być uszczypliwa aluzja do tego, że czas ucieka, a oni jeszcze nic nie osiągnęli. Jej słowa podziały na Jacka jak kopniak.

- Więc po co opowiadasz się za czymś oczywiście złym dla miasta, które i tak opuścisz?

- Bo moim zdaniem to wcale nie takie oczywiście złe.

Jack miał w zanadrzu kilka argumentów, lecz na razie wolał ich nie wysuwać. Byłoby to bezcelowe, a nawet mogłoby zaszkodzić.

- Chyba wcale nie chodzi o bingo.

- A o co, jeśli można wiedzieć?

Jack zerknął na Deanie, która udawała, że nie słucha gniewnej wymiany zdań.

- Raczej... o... pranie... - rzekł z triumfalną miną. I pieszczotach na pralce, dodał w duchu.

- Chciałbyś, co?

- Czemu nie? Przyznaj się, że o to ci chodzi. Stosujesz taktykę dywersyjną, budujesz barykadę i ostrzysz topór Bennettów. Czy myślisz, że jeśli wyprowadzisz mnie z równowagi, zapomnę o najważniejszej kwestii?

- Co za arogancja. - Ellin prychnęła pogardliwie. - Nie jesteś pępkiem świata, nie wszystko wiąże się z tobą.

- Nie wszystko - przyznał pogodnie. - Ale to się wiąże na pewno.

- Nie, mój panie. - Zamaszyście schowała klawiaturę. - Chodzi o to, że system moich wartości jest sprzeczny z twoim.

- Co prawda, to prawda.

- Dziękuję.

- Bardzo proszę. - Wzruszył ramionami. - Dobrze, że sama dostrzegłaś ten drobiazg.

Ellin zamierzyła się na niego zatemperowanym ołówkiem niby oszczepem.

- To oznacza ważne, podstawowe różnice między nami.

- Doprawdy? - Jack oparł się o biurko i nisko pochylił głowę. - Możesz zdradzić choćby jedną?

Ellin była wojownicza, umiejętnie odparowywała ciosy, lecz jego podniecał taki przeciwnik.

- Po pierwsze ja patrzę całościowo, a ty nie. Po drugie ja wybiegam myślami poza ciasne ramy, a ty nie potrafisz. Po

trzenie ja wiem, że poza twoim małym Waszyngtonem istnieje wielki świat, a dla ciebie cały mieści się tutaj.

Jack pomyślał, że gdyby nie obecność sekretarki i irytacja, zastosowałby terapię pocałunkową, aby zamknąć usta Ellin i ugasić własny ogień. Zamiast tego rzucił kolejną rękawicę.

- Daj mi dowód.

- Co proszę? - syknęła Ellin przez zaciśnięte zęby.

- Słyszałaś, co powiedziałem. Chętnie zrobię następne pranie. Gdzie i kiedy chcesz. No, co ty na to?

Ellin zerknęła w bok. Deanie miała bardzo zde gustowaną minę; widocznie nie rozumiała, jak można sprzeczać się o coś tak prozaicznego. Ellin oparta się o biurko, lekko pochyliła i wycodziła ściszone glosem:

- Nie pozwoliłabym ci, nawet gdybyś był ostatnim człowiekiem na świecie.

- Nie wierzę.

- Mało mnie to obchodzi.

- Oj, obchodzi, i to mocno. Cały problem polega na tym, że za długo nic nie robiłaś. Moim zdaniem przydałoby ci się solidne płukanie.

- Umiem sama pracować i nikt nie musi mi pomagać. Jack wyszczerzył zęby, polizał palec i udał, że pisze stopień na tablicy. Podobało mu się, że Ellin jest taka czupurna. Mniej pewny siebie mężczyzna walczyłby z nią do upadłego, jednak on łaskawie pozwolił jej wygrać tę rundę.

- Jak pani woli - rzucił na odchodnym. - Jednak następnym razem proszę trzymać ręce z dala od mojego pudła z narzędziami.

Strzał był tak celny, że Ellin zdębiała i na długo zaniemówiła. Po południu wybrała się do miasta, żeby zebrać trochę nowin. Wszyscy jakby się umówili i gdziekolwiek się pojawiała, czyniono aluzje do tego, że zapłaciła mandat. Uwagi wypowiedane za plecami, znaczące spojrzenia i

pochrząkiwania coraz bardziej ją irytowały. Wiadomość o wykroczeniu zamieszczono w „Kąciku porad prawnych” w „Post - Ette”!

W drodze do sklepu Herman's Hardware Ellin minęła drogerię. Na wystawie stały czerwone butelki z płynem do prania, który najczęściej kupowała. Co za ironia losu... Czy nie można uciec od pewnego okropnego człowieka i niemądrych zachcianek? Dlaczego Jack tak na nią działa?

Pierwszy raz spotkała kogoś takiego. Był jedyny w swoim rodzaju i zawsze miał rację. Lecz to tylko część problemu.

Alvie Herman akurat zamykał sklep, ale zaprosił ją do środka i pokrótce opisał, jak wyobraża sobie wyprzedaż z okazji dwudziestopięciolecia firmy.

Gdy Ellin uniosła głowę, zobaczyła, że starszy pan krzywi się z bólu.

- Coś panu dolega?

- Pioruńska niestrawność. - Przyłożył zaciśniętą pięść do piersi. - Zawsze mnie męczy, jak sobie podjem kielbasy z kiszoną kapustą.

Słuchając i robiąc notatki, dyskretnie go obserwowała.

- Nie uznaję emerytury - kończył pan Herman. - Chcę pracować tak długo, aż padnę i wyniosą mnie nogami do przodu.

Ellin pomyślała, że to wkrótce może się zdarzyć. Zauważyła perlisy pot na twarzy mężczyzny.

- Przepraszam panią, ale muszę usiąść. Starszy pan odwrócił się i... runął na podłogę.

- Panie Herman! - Przerazona Ellin padła przy nim na kolana. - Słyszysz mnie pan?

Leżący poruszył ustami, lecz nie wydobył głosu.

- Już wzywam karetkę.

Skoczyła do telefonu, zadzwoniła na pogotowie i poprosiła o natychmiastową pomoc. Potem wróciła do

właściciela sklepu, wsunęła mu swój płaszcz pod głowę i bezradnie opuściła ręce. Od dawna miała zamiar nauczyć się udzielania pierwszej pomocy. W poprzedniej pracy nawet chciano wysłać ją na bezpłatne szkolenie, lecz z braku czasu nie skorzystała. A teraz bała się, że karetka nie zdąży dojechać. Chory oddychał z coraz większym trudem, twarz mu poszarzała, pot lał się strumieniem. Ona zaś nie umiała pomóc.

Jack otrzymał wiadomość, gdy znajdował się w połowie drogi ze szkoły do domu. Był jednym z czterech ratowników w mieście. Drogą radiową zawiadomił, że jest niedaleko remizy i stamtąd pojedzie. Pobiegł co sił w nogach, wskoczył do wozu strażackiego i jak błyskawica pomknął na Main Street.

Większość sklepów i urzędów już zamknięto, ulica była pusta, więc dojechał bez przeszkód. Zaparkował przed sklepem, wziął apteczkę i defibrylator i błyskawicznie wbiegł do środka. Zaskoczył go widok Ellin klęczącej obok chorego.

- Jack? Co ty tu robisz?

- Potem wyjaśnię.

Nie było chwili do stracenia, gdyż pan Herman miał szarą twarz i sine usta. Jack w mgnieniu oka ocenił sytuację, zdecydował, jak należy ratować chorego i przystąpił do akcji. Wciągnął gumowe rękawiczki i ucisnął tętnicę szyjną. Ledwo wyczuł puls, a nim skończył liczenie, puls całkowicie ustał. Nastąpiło zatrzymanie akcji serca.

Prędko włączył defibrylator i rozerwał koszulę na piersi pana Hermana. Aparat samoczynnie ustalał, jakie impulsy należy zastosować: powstrzymujące śmiertelną arytmie czy migotanie komór. Serce chorego było w stanie migotania komór. Po sprawdzeniu, czy Ellin nie dotyka chorego, Jack przystąpił do działania.

Po trzecim impulsie serce zaczęło normalnie bić, a gdy akcja się unormowała, Jack założył panu Hermanowi maskę tlenową. Potem usiadł na podłodze i pogodnie uśmiechnął się do Ellin.

- Udało się.

Dopiero kwadrans później przyjechała karetka z Fayetteville. Pan Herman odzyskał przytomność i chciał podziękować Jackowi, ale przeszkadzała maska. Jack mocno uścisnął mu rękę i zapewnił go, że wróci do zdrowia. Obiecał, że zadzwoni do pani Herman i powiadomi, co się stało.

Ellin napisała kilka reportaży z akcji ratunkowych, ale zawsze była jedynie chłodnym obserwatorem. Nigdy nie otarła się tak blisko o tragedię ani nie wzruszyła wynikiem udzielonej pomocy. Jack jeszcze raz dowiódł swej wyjątkowości. Fakt, że uratował człowiekowi życie, potraktował jak rzecz normalną, a przecież graniczyło to z cudem. Ożywił serce, które przestało bić, przywrócił męża żonie i ojca dzieciom. Bezinteresownie pomógł znajomemu, lecz to samo zrobiłby dla obcego człowieka.

- Naprawdę uważasz, że on z tego wyjdzie? - spytała, gdy umilkł przeraźliwy sygnał.

- Nie jestem lekarzem, ale według mnie ma szansę. Statystyki mówią, że ci, którzy przeżyją nagłe zatrzymanie akcji serca, wychodzą na prostą.

- Oby. To bardzo miły człowiek.

- Około osiemdziesięciu procent pacjentów żyje przez rok, a pięćdziesiąt siedem procent aż pięć lat.

- Niewiarygodne.

- Ostatnio dużo się mówi o tym, że automatyczne defibrylatory powinny być w każdej miejscowości i że należy przeszkolić kilku mieszkańców. Waszyngton jest małym miasteczkiem, ale mamy czterech ratowników, którzy ukończyli tygodniowy kurs udzielania pierwszej pomocy. Jako

pierwsi pędzimy na miejsce wypadku, podtrzymujemy chorych przy życiu i czekamy na fachową pomoc lekarską.

- To też służba ochotnicza?

- Oczywiście.

Jack pożyczył telefon komórkowy i zadzwonił do pani Herman. Powiedział, co się stało i wzbudzającym zaufanie głosem zapewnił, że jej mąż wyzdrowieje,

Ellin pierwszy raz w życiu spotkała tak altruistycznego człowieka.

- Czemu to robisz?

- Żeby pomagać. Małe miasto jest jak duża rodzina. Wszyscy się znamy i każdy robi tyle, na ile go stać. Zamiast pana Hermana mógł to być mój ojciec lub twoja babcia.

- Czy ty ją ratowałeś, gdy złamała biodro?

- Byłem najbliżej...

To wyjaśniało parę kwestii. Na przykład silną więź między staruszką a młodym człowiekiem. Jack okazał się rycerzem, który pośpieszył damie na ratunek.

Ludzie powoli rozchodzili się. Kilka osób przyjaźnie poklepało Jacka po plecach i pochwaliło za błyskawiczną akcję. Jack skromnie powiedział, że po prostu znalazł się w odpowiedniej chwili tam, gdzie trzeba.

- Taki defibrylator jest fantastycznym urządzeniem.

- Dostaliśmy go przed kilkoma miesiącami i dziś pierwszy raz go użyłem.

- Naprawdę? - zdumiała się szczerze. - A wyglądało, jakbyś miał wprawę.

- Ten aparat jest bardzo użyteczny w ręku nie - lekarza, bo każdy głupi potrafi go obsługiwać. Dzięki niemu można wielu ludziom ocalić życie, a im wcześniej zostanie wznowiona akcja serca, tym są większe szanse powrotu do zdrowia. Każda minuta spóźnienia zmniejsza szanse o dziesięć procent.

Weszli z powrotem, aby pogasić światła i zamknąć sklep. Ellin znowu próbowała zaszufładować Jacka, ale bez powodzenia. Do żadnej szufladki nie pasował.

Jack podniósł z podłogi jej płaszcz.

- Włóż, bo dygoczesz z zimna.

Zauważył jednak, że ma podejrzenie błyszczące, wilgotne oczy i zrozumiał przyczynę drżenia, więc szeroko rozłożył ręce. Ellin skłoniła głowę na jego pierś i wybuchnęła płaczem. Głaskał ją po włosach i szeptem pocieszał. Doczekał się, że Zosia - Samosia szuka u niego opieki, którą chciał jej zapewnić! Objął ją mocniej. Czy przeżyje, jeśli ukochana dotrzyma słowa i wyjedzie? Chyba serce mu pęknie, gdy Ellin odrzuci jego świat i wróci do swojego.

- Już lepiej? - szepnął.

- Tak. Przepraszam, że się rozkleiłam, ale... wzruszyło mnie... wszystko.

- Ratowanie chorych jest zadaniem dla ludzi odpornych psychicznie. Tu nie ma miejsca dla mięczaków.

Ellin chciała się uśmiechnąć, a zamiast tego zatkała.

- Nie o to chodzi... Ja... nie wytrzymuję porównania z tobą... bo tyle robisz dla innych. Tyle z siebie dajesz, a nie oczekujesz nic w zamian. Robisz, co tylko możesz, bo uważasz, że tak trzeba. Przez cały okrągły rok jesteś Świętym Mikołajem.

- Każdy człowiek potrzebuje bliźnich. Ty też.

- Nie.

Zawsze uważała, że liczenie na bliźnich prowadzi do rozczarowań i dlatego nauczyła się polegać wyłącznie na sobie. Była nowicjuską w dawaniu, ale dzięki Jackowi chciała nauczyć się tej sztuki.

- Jesteś taki dobry, że aż trudno uwierzyć.

Jack ujął jej twarz w dłonie i pocałował. Tym razem lekko, niespiesznie, więc Ellin też całowała go delikatnie. Jej

serce, zamiast bić normalnie, zaczęło szaleć. Zdawała sobie sprawę, że uczucie w stosunku do Jacka jest wyjątkowe. Tak cudowne, że wywołuje jednocześnie ból i rozkosz. Nie wiedziała, że istnieje coś tak wspaniałego. Lękała się tego, co nieznane.

Nie знаła prawdziwej miłości, lecz zrozumiała, co Jack ofiarowuje. Poczula się zaszczycona, że uznał ją za godną bezcennego daru. Nie miała jednak odwagi go przyjąć, gdyż bała się odpowiedzialności.

Wystraszona uznała, że niezależnie od ceny, jaką przyjdzie zapłacić, lepiej teraz odepchnąć Jacka, niż potem złamać mu serce.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W związku ze zbliżającymi się walentynkami Ellin postanowiła zamieścić w „Post - Ette” okolicznościowe ogłoszenia napisane w ramce w kształcie serca. Jej chodziło głównie o to, by sprzedać więcej egzemplarzy tygodnika, a tymczasem czytelnicy potraktowali sprawę poważnie. Jako osoba trzeźwa i nieufna wobec romantycznych gestów Ellin nie przypuszczała, że znajdzie się tyle sentymentalnych, spragnionych okrucza miłości istot, które zechcą publicznie wyjawiać najskrytsze uczucia. I w dodatku zapłacą za ten wątpliwy przywilej.

Aby stworzyć bardziej tajemniczą atmosferę, Deanie okleiła kolorowymi sercami duże pudło, które postawiła na stoliku w kącie przy drzwiach. Do wypełnionego formularza usychający z miłości wielbiciel dołączał pięć dolarów. Ci, których uczucia były gorętsze, a portfel grubszy, zamawiali normalne duże ogłoszenie, co wydatnie zwiększyło miesięczne wpływy.

Przez dwa tygodnie lutego nie ustawał ruch przy „Skrzynce miłości”. Pierwsi odważyli się przyjsć uczniowie, potem ludzie młodzi i coraz starsi. Wyglądało na to, że wszyscy mieszkańcy Waszyngtonu chcą dać dowód, że pamiętają o ukochanych. Zebrało się tych ogłoszeń na pełne dwie strony.

Pani redaktor nie miała czasu przejrzeć ostatnich ogłoszeń, więc dała Owenowi wolną rękę. Ten zaś potraktował zezwolenie dosłownie i pół strony zatoneło w powodzi kolorowych girland oraz serduszek. Wydrukowano dwieście dodatkowych egzemplarzy wydania walentynkowego, a mimo to sprzedano prawie wszystkie już w środę przed południem. Ludzie czytali drukowane wyznania i prześcigali się w odcyfrowywaniu inicjałów.

Deanie liczyła pieniądze, uśmiechając się od ucha do ucha. Cieszyła się z większych wpływów i głowiła nad tajemniczym ogłoszeniem: - Dla D.S.M. Wielbię cię z daleka i mam nadzieję, że kiedyś będziesz moja.

Zdumiona zastanawiała się, czy to naprawdę jest adresowane do niej. Kto podkochuje się w niej? Okazało się, że i leciwa wdowa może mieć tajemniczego wielbiciela. Była miło połączona.

Ellin raz i drugi zauważyła, że Owen rzuca sekretarce tęskne spojrzenia.

- Deanie - odezwała się z niewinną miną - zdradź, kto wzdycha do ciebie.

- Kiedy naprawdę nie wiem. - Deanie oblała się rumieńcem i zaczęła chichotać. - Ale człowiekowi przyjemnie, że ktoś o nim myśli.

- Czy ja wiem...

Ellin nie lubiła walentynkowego szaleństwa. To nie święto, a zwykły handlowy chwyt, żeby wyciągnąć z ludzi pieniądze. Nawet była zła, że urodziła się czternastego lutego.

- Jakie masz drugie imię? - zainteresowała się Deanie.

- Elizabeth, a bo co?

- Jest tu chyba coś dla ciebie.

- Wątpię. - Spojrzała na wskazane ogłoszenie podwójnego formatu i przeczytała: - „Dla E.E.B. Wszystko wyjdzie w praniu. Don Kichote”.

Spiekła raka i odwróciła głowę. Tylko Jack mógł wpaść na taki pomysł. Znał mnóstwo cytatów, które dowolnie parafrazował, by dopasować do sytuacji.

- Od jakiegoś Dona Kichnota. - Deanie przekręciła imię błędnego rycerza, o którym nie słyszała. - U nas taki nie mieszka. Znasz kogoś takiego?

- Osobiście nie.

- Hmm. Inicjały pasują też do Emily Eileen Brown, do tej, która śpiewa w chórze. A Don to koszykarz z Hilldale.

- Pewnie zgadłaś.

Sekretarka dalej przeglądała ogłoszenia.

- O, jeszcze jedno dla E.E.B. „Fala niektórych ludzkich spraw przyplywa do brzegu. Juliusz Cezar”. No, ten na pewno nie stąd.

Ellin jęknęła w duchu. Zagadkowe zdania oznaczały, że Jack ma nieczne zamiary. Robił aluzje do prania, co za bezczelność!

- El, patrz! Jest i trzecie. No, tego to już ni w ząb nie rozumiem. „Dla E.E.B. I oto Święty Mikołaj już idzie na brzeg. Robert Frost”. Frost to chyba jakiś znany facet, mam rację?

- Poeta, amerykański.

- Nie posądzam koszykarza o czytanie wierszy.

- Różnie bywa.

Ledwo Deanie zaczęła szykować się do wyjścia, zjawił się Owen i zaproponował, że odprowadzi ją do samochodu. Szarmancko podał płaszcz i otworzył drzwi. Pracowali razem od dziesięciu lat, a stary kawaler dotąd nie zwalczył chorobliwej nieśmiałości.

Po ich wyjściu Ellin ponownie przeczytała zagadkowe zdania adresowane do E.E.B. Nie miała cienia wątpliwości, kto jest ich autorem. Po pamiętnej scenie w sklepie Jack kilkakrotnie proponował spotkanie, lecz odrzucała zaproszenia, gdy mieli być tylko we dwoje. Zawsze musiała być obecna Lizzie jako przyzwoitka.

Gdy poszli do kina na film rysunkowy, siedziała między nimi. Często aż do znudzenia grali z nią w gry dla dzieci, razem byli w pizzerii, podczas oglądania kurzej fermy państwa Maddenów Lizzie trzymała ich za rękę.

Dziecko nie posiadało się z radości, a jego matce wycieczki sprawiały dużą przyjemność. Inteligentny i dowcipny Jack był świetnym kompanem, zawsze potrafił się odciąć. Dużo czytał i interesowało go wiele tematów. Czasami przyrównywała go do uwierającego ziarenka piasku, ale uważała, że to najciekawszy człowiek, jakiego zna. Nikt nie miał takiego daru pobudzania jej do śmiechu.

Dzięki niemu nauczyła się doceniać drobne radości. Przyjęła do wiadomości fakt, że Jackowi jest dobrze w małym Waszyngtonie i nie pociąga go szeroki świat, lecz nadal nie rozumiała takiej postawy.

Podobnie jak Lizzie, niecierpliwie czekała na kolejne spotkanie, ale tak manewrowała, żeby nie zostawali sam na sam. Wmawiała sobie, że w ten sposób uda się utrzymać znajomość na przyjacielskiej, niegroźnej stopie, lecz przypominało to cyrkowe chodzenie po linie bez siatki zabezpieczającej. Jack śnił się jej po nocach, marzyła o nim na jawie. Bliższe kontakty skomplikowałyby jednak życie, więc walczyła z pożądaniem, aby okiełznać je i przekształcić w zwykłą sympatię.

Jack stał się ważny dla niej i Lizzie. Nie chciała ani ranić jego uczuć, ani sama cierpieć. Od czasu delikatnych pocałunków po akcji ratunkowej wiedziała, o co toczy się gra. Nie chciała stracić swego jedyne prawdziwego przyjaciela i jedyne ideału córki.

Jako dziennikarka widywała zło panoszące się na świecie, a częste ocieranie się o okrucieństwo w różnej postaci zmroziło jej i tak chłodne serce. Dopiero Jack przywrócił jej wiarę w człowieka. Był dobry do szpiku kości, stanowił promyk światła w mrocznym tunelu. Dzięki takim ludziom ponownie zaczęła optymistycznie patrzeć w przyszłość.

Przysięgła sobie, że utrzyma kontakt, będzie pisała tradycyjne i elektroniczne listy, telefonowała, czasem

odwiedzała. Pod warunkiem, że znajomość zostanie platoniczna, nieskażona zgubnymi uczuciami. Jej małżeństwo było dowodem na to, że miłość wędnie na odległość.

Stanowczo postanowiła, że nie dopuści do żadnego zbliżenia, zakreśliła nieprzekraczalną granicę i poczuła się bezpieczna. Ostatnio spotkania odbywały się na wyznaczonej części terytorium. Gdy Jack robił krok do przodu, ona odskakiwała dwa do tyłu, a w chwilach słabnącego oporu powtarzała sobie, jaki ceł jej przyświeca i jeszcze wyraźniej zakreślała granicę. Musiała być silna, ponieważ niedługo wyprowadzi się z Waszyngtonu. Po powrocie Jiga Bakera nie będzie miała co tu robić.

Rozesłała podania po całym kraju i otrzymała kilka pozytywnych odpowiedzi. Mimo przymusowego postoju w Arkansas, mogła wrócić na drogę wiodącą do szczytów zawodowej kariery. Traktowała Jacka jako czarującego kompana; wiedziała, że celowo nie zrani jego uczuć, ale musi wyznaczać granice i pilnować, by pożądanie nie zagłuszyło zdrowego rozsądku. A na to był tylko jeden sposób: pod żadnym pozorem nie wolno przekroczyć linii granicznej.

Po pracy wsiadała już do samochodu, gdy usłyszała wołanie:

- Halo! Dokąd pani redaktor jedzie?
- Do domu, Don Kichocie Cezarze Proście. Na twarzy Jacka odmalowało się rozczarowanie.
- Już mnie rozszyfrowałaś?
- Masz do czynienia z detektywem w spódnicy.
- Przepraszam, zapomniałem. Musisz jechać do domu? Serio?
- Tak.
- A może wybierzesz się na palenie stodoły? Będzie dobra rozrywka i materiał do artykułu.

- Czy „palenie stodoły” jest zabawą ludową? Nigdy nie słyszałam... Cóż to takiego?

- Palenie, jak sama nazwa wskazuje. Bill Cranston chciał rozebrać starą stodołę, żeby postawić nową. - Jack z zadowoleniem zatarł ręce. - Ale namówiłem go, żeby pozwolił strażakom spalić budę.

- Aha. To jakiś wiejski zwyczaj walentynkowy?

- Wcale nie. Potrzebujemy trochę praktyki i zaplanowaliśmy akcję na wczoraj, ale za mocno wiało. Masz okazję zobaczyć, jaki ze mnie zuch z wielkim węzem. No, co? Pojedziesz?

- Chętnie. Wezmę kamerę i uwiecznię wydarzenie dla przyszłych pokoleń.

Samochodem Jacka pojechali kawałek za miasto. Kilkunastu strażaków stało już wokół rozwalającej się stodoły, z której wyprowadzono bydło na odległe pastwisko.

Jack włożył żółty kombinezon, długie buty, rękawice i hełm. Uśmiechnął się do Ellin, zasalutował żartobliwie i poszedł pomóc szwagrowi przy wyciąganiu węża. Jego stryj najpierw polecił strażakom podpalić rudere, a potem kazał ugasić płomienie. Stodoła była jak duże pudło zapalek, lecz akcja trwała niespełna godzinę. Strażacy obficie polali pogorzeliśko wodą, żeby iskry nie wznieciły drugiego pożaru, pogratulowali sobie dobrze spełnionego zadania i schowali sprzęt.

Ellin z podziwem patrzyła na zbliżającego się Jacka. Nadal był w ochronnym stroju, ale hełm niósł pod pachą. Przypominał rycerza w zbroi. Gdy w osmalonej twarzy błysnęły mocne, białe zęby, serce patrzącej szarpnęło się, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Ellin przysięgła sobie, że będzie opanowana, a mimo to znowu ogarnęło ją podniecenie, czyli uczucie, które usiłowała zwalczyć.

Klasnęła w dłonie na znak uznania, zdjęła Jackowi okulary i przetrzała je chusteczką.

- O, pani! - Złożył niski ukłon. - Czy dzisiaj ci zaimponowałem?

- Tak. Wszędzie było ciebie pełno. - Oddała mu okulary i wymownie położyła rękę na sercu. - Dawno nie widziałam takiego popisu męskości.

- Rozpiera mnie duma. - Wzorem Tarzana grzmotnął się w piersi jak dominujący samiec, ale natychmiast popsuł efekt, popisując się wiedzą i zdradzając, że nie jest dzikusiem.

- Według najnowszej teorii antropologicznej kobiety są genetycznie tak uwarunkowane, żeby wybierać partnera, który potrafi obronić przed niebezpieczeństwem i wrogiem. W ten sposób natura zachęca do rozmnażania się i zapewnia przetrwanie gatunku.

- O, jakie to ciekawe.

- Prawda? - Spojrzał pożądliwie, pochylił się i szepnął: - Poczekaj, aż się przebiorę. Obiecuję, że nie drgnę, gdy zechcesz na mnie sprawdzić swój stosunek do tej teorii.

- Dziękuję za propozycję, ale nie sprawdzę, czy potrafisz dotrzymać obietnicy. Idę porozmawiać z dzielnymi strażakami, bo potrzebuję trochę informacji do mojego reportażu.

- Trudno. - Jack wzruszył ramionami. - Skoro nie chcesz wypełnić swojego obowiązku i przyczynić się do przetrwania gatunku...

Ciężko wzdychając, patrzył w ślad za kobietą, która prowokacyjnie kołysała biodrami, a być może nie zdawała sobie sprawy z tego, jak na niego działa. Z każdym dniem mocniej ją kochał, więc żarty przychodziły mu z coraz większym trudem.

Przebiegł myślami ostatnie tygodnie, podczas których nie posunął się ani pół kroku naprzód, bo obecność dziecka

uniemożliwiła wyznania. Nim ogarnął go niepokój, wpadł na pewien pomysł i doszedł do wniosku, że lepiej nic nie mówić, a działać. Należy coś zrobić, ponieważ czyny są wymowniejsze niż słowa. Poza tym tak będzie ciekawiej.

Uznał, że najlepsza okazja nadarzy się 14 lutego. Przy odrobinie szczęścia i pomocy Amora plan się powiedzie. Trzeba śpieszyć się, gdyż po walentynkach zostanie zaledwie sześć tygodni. Dlatego drobiazgowo opracował plan strategiczny, który teraz zamierzał wprowadzić w życie.

Ellin wróciła zadowolona.

- Wyjdzie z tego ciekawy reportaż.

- Zebrałaś wszystkie potrzebne informacje?

- Tak. - Wsiadła do samochodu i spojrzała na zegarek. -

Och, już tak późno? Pani Kendall pewnie zastanawia się, co mi się stało.

- Spokojnie. Ośmieliłem się poprosić Janę, żeby odwiozła Lizzie do domu.

- O?

- Nie wiedziałem, ile czasu zajmie gaszenie pożaru. Chyba nie masz mi za złe?

- Nieee... Doceniam twoje dobre chęci... Dobrze, że przynajmniej zdążę przygotować kolację.

- Ehem... zawiozłem do was ulubioną pizzę Lizzie.

- Taaak? - Zerknęła na niego nieufnie. - Co knujesz za moimi plecami?

- Dziś są walentynki.

- Co z tego?

- Pomyślałem, że spędzimy ten wieczór razem, bo oboje nie mamy z kim słodko gruchać.

- Słodko gruchać? - powtórzyła speszona.

- Nie słyszałaś o gruchających gołąbkach?

- Nawet widziałam na obrazku.

- Jeszcze lepiej. A więc uraczę cię domowym jadłem, a potem saks...

- Cooo?

- I zagram coś na saksofonie po kolacji. Chyba mówiłem ci, że grałem w uniwersyteckiej orkiestrze dętej, prawda?

- Jakoś nie pamiętam. Program wieczoru jest atrakcyjny, ale jednak pojedę do domu.

- Jeszcze nigdy u mnie nie byłaś.

- I bardzo dobrze.

- Obawiasz się sam na sam ze mną? O to ci chodzi?

- Wcale nie.

- Posądzasz mnie, że wykorzystam sytuację?

- Nie.

- Więc może boisz się, że sama skorzystasz z okazji?

- Po prostu uważam, że to zły pomysł.

Jack minął jej samochód stojący przed redakcją i skręcił w boczną uliczkę.

- Szkoda. Sprawy zaszły trochę za daleko, bo to ślepy zaułek i już nie mogę zawrócić.

Ellin przestała się sprzeciwiać. Wiedziała, jak przykra jest samotność w dniu urodzin; babcia i córka wcześniej pójną spać, a ona będzie pluła sobie w brodę, że odmówiła Jackowi. Lecz co jego zaproszenie tak naprawdę oznacza?

Jack zajechał przed dom w stylu z lat dwudziestych.

- Proponuję, żebyśmy zawarli umowę. Przysięgnę trzymać na wodzy najdziksze pragnienia, jeśli ty przysięgniesz to samo.

Poszedł się umyć, a Ellin została w bawialni. Często powtarzała sobie, że już nie będzie dziwić się niczemu w związku z Jackiem. Tymczasem znowu ogarnęło ją zdumienie, bo nie przypuszczała, że dom kawalera może być ładnie i funkcjonalnie urządzone. Duży, wysoki pokój z dębową podłogą miał swoisty staroświecki urok. Dzięki gustownej

mieszaniu stylowych i nowoczesnych mebli, obrazów i bibelotów, był elegancki i przytulny. Ellin uśmiechnęła się, gdy jej wzrok padł na saksofon i nuty leżące na mahoniowym pulpicie. Grzejąc się przy kominku, obejrzała ślubną fotografię państwa Maddenów oraz zdjęcia Jacka i Jany w różnym wieku.

- Czego się napijesz?

Odwróciła się gwałtownie, ale to nie z tego powodu zaparto jej dech w piersi. Zachwycił ją widok Jacka w spranych dżinsach i luźnym jasnoniebieskim swetrze z podwiniętymi rękawami. Mokre włosy miał bardziej potargane niż zwykle.

- Poproszę... lampkę wina... Jeśli masz.

Bez wsparcia gadatliwej czterolatki czuła się skrepowana i nie bardzo wiedziała, jak się zachować.

- Białego czy czerwonego?

- Wolę białe.

Jack przyniósł butelkę dobrego wina i dwa piękne kieliszki. Nastawił cichą muzykę.

- Może pani redaktor raczy usiąść? Zapraszam tutaj. - Wskazał miejsce koło siebie. - Nie denerwuj się, nie gryzę. Przynajmniej na razie. Może pokąsam ci szyję trochę później... to dalszy punkt programu.

Ellin przysiadła na brzegu kanapy.

- Sam urządziłeś dom? Bardzo tu ładnie.

- Dziękuję, ale to nie tylko moja zasługa. Jana pomogła mi wybrać... najdroższe rzeczy.

Pociągnęła nosem.

- O, z kuchni dolatują miłe zapachy... Jeśli jedzenie już gotowe, to jesteś czarodziejem.

- Przyrządziłem przed wyjściem. Będzie gulasz.

- Umiesz gotować?

Wszechstronność jego uzdolnień była imponująca i w porównaniu z tym jej własne umiejętności wydawały się żałośnie ograniczone.

- Owszem, bo lubię dobrze zjeść. - Niedbale wzruszył ramionami. - Mama nauczyła nas gotować i sprzątać, a ojciec naprawiać różne rzeczy, nawet samochody. Moi rodzice uważają, że gdyby mężczyźni umieli gotować, a kobiety naprawiać różne sprzęty, ludzie pobieraliby się wyłącznie z miłości.

- To bardzo romantyczne.

- Pochodzę z szalenie romantycznej rodziny. Dziadkowie ze strony ojca poznali się na balu i po miesiącu znajomości uciekli z domu.

- Bajki opowiadasz.

- Mówię szczerą prawdę. W naszej rodzinie utarło się przekonanie, że każdy zawsze pozna swoją drugą połowę. Jesteśmy podobni do łabędzi, łączymy się na całe życie. Narzeczeństwo moich rodziców trwało tylko dwa i pół miesiąca, a małżeństwo okazało się bardzo trwałe.

- Ile masz lat?

- Uspokój się, już jestem pełnoletni. I pozwól mi skończyć... Według ojca trzydzieści szczęśliwych lat na trzydzieści pięć to już coś.

- Czyli masz...

- Trzydzieści. Skoro poruszyliśmy ten drażliwy temat, przyznaj się, ile ty masz.

Ellin nie sądziła, że Jack jest aż o pięć lat młodszy od niej. Może jej zaawansowany wiek go odstraszy?

- Trzydzieści pięć.

- Akurat dziś. To bardzo romantyczne. Skoro urodziłaś się w taki dzień, przysługują ci specjalne prawa.

- Skąd wiesz, że są moje urodziny? Jack przesadnie nisko zwiesił głowę.

- Wstyd się przyznać, ale wyciągnąłem to z twojej babci.
 - Jak ją znam, nie musiałeś nic wyciągać.
 - Prawda: Wystarczyło roztoczyć nieodparty urok Maddenów... Wiem wszystko, co chciałem, pani Ellin Elizabeth.
 - Kiedy są twoje urodziny?
 - Dziesiątego listopada.
 - A drugie imię?
 - Nathan po dziadku Maddenie. Jana dostała na drugie Nadine po babci. Moi rodzice są tradycyjni.
 - Bardzo mi się podobają. Masz szczęście, że pochodzisz z takiej kochającej się, zżytej rodziny.
 - Rodzice zawsze byli dla nas wzorem. - Położył nogi na stoliku, a głowę oparł o poduszki. - Zawsze chciałem mieć to, co oni.
 - Czyli fermę kurzą? - spytała podchwytliwie.
 - Nie. - Poklepał ją po ręce. - Próbuję poważnie z tobą rozmawiać.
 - Przepraszam. No więc, co chcesz mieć? Ciebie. Pragnę cię mieć teraz i zawsze. Chcę budzić się ze świadomością, że mam przed sobą cały dzień wypełniony miłością do ciebie. Jednak Ellin chyba jeszcze nie była przygotowana do tego, by uwierzyć w prawdziwą miłość.
 - Chciałbym przez całe życie kochać jedną kobietę - rzekł z namysłem. - Z wzajemnością.
- Przechylił się ku Ellin, więc odsunęła się na sam brzeg kanapy.
- Rozumiem, że chcesz się ożenić.
- Wzięła elegancką poduszkę z frędzlami i kurczowo ją objęła. Jack delikatnie odebrał poduszkę, starannie wygładził i położył na miejscu.
- Jestem zwolennikiem małżeństwa.
 - Nie wszyscy się nadają...

- Mówisz o kimś, kogo znam?

- Tak. Ja nie byłam szczęśliwa, a wiesz, że nie lubię przegrywać.

- Andrew był nieodpowiedni dla ciebie. - Położył rękę na oparciu kanapy. - Każdy z nas ma bratnią duszę, kogoś, kto stanowi nasze dopełnienie i nadaje sens życiu.

- Piękne, ale ja nie wierzę w bajki. To, co nazywamy miłością, jest zwykłą reakcją hormonów.

- Aha, to dlatego nie jesteś poetką.

- Jestem realistką. I uczę się na własnych błędach.

- Za pierwszym razem coś zawiodło, bo twój mąż nie był tym jednym jedynym. Jeśli zrozumiesz, że musieliście się rozstać, żebyś mogła znaleźć prawdziwą miłość, rozwód nie będzie przegraną. Prawda?

- O, to dlatego jesteś poetką.

- Manualnie też jestem uzdolniony i umiem dobrze grać w zespole.

Ellin czuła się nieswojo przy omawianiu plusów miłości i małżeństwa z człowiekiem, którego chciała trzymać na dystans. A siedział tak blisko...

- Kiedy zaczniemy jeść? - spytała ostrym tonem.

- Nader subtelna zmiana tematu... Ale tym razem ci wybaczam. - Jack wstał i pociągnął ją za rękę. - Chodź, niecierpliwa pani, nakarmię cię, zanim zemdlejesz z głodu. - Jakby po namyśle dodał: - Skoro jesteś moim gościem, pozwalam ci zemdleć w każdej chwili.

- Obiecałeś, że będziesz zachowywał się przyzwoicie.

- I dotrzymuję obietnicy.

- Czy mogę zadzwonić do domu?

- Oczywiście.

Dowiedziała się, że ma być spokojna i miło spędzić urodzinowy wieczór. Podejrzewała znową, lecz nic nie

skomentowała. Nakryła do stołu i przygotowała sałatę, podczas gdy Jack pilnował makaronu.

- Od dawna chciałam cię o coś zapytać - rzekła pod koniec kolacji.

- Po co pytać? Od razu odpowiadam, że się z tobą ożenię.

Ellin mimo woli wybuchnęła śmiechem.

- Wcale nie o to mi chodzi. Wspomniałeś, że byłeś w Afryce, więc powiedz mi, jak tam jest.

Jack wyraźnie posmutniał.

- Nie ma o czym mówić. Byłem w Ruandzie jako dziennikarz. To wszystko.

Ellin zrozumiała, że kryje się za tym coś bardzo przykrego lub tragicznego.

- Studiowałeś dziennikarstwo?

- Zacząłem, ale po roku przerzuciłem się na kierunek pedagogiczny - odparł wymijająco. - To długa, nieciekawa historia, ale kiedyś ci opowiem.

Instynktownie czuła, że nie należy naciskać, nie wypada zmuszać do wynurzeń.

- Więc powiedz coś o twojej książce.

- Nie warto. Mówienie osłabia inwencję twórczą. Rozumiesz to, prawda?

- Tak. Czy gdybyś dał mi do przeczytania, to też zniszczyłoby twórczą inwencję?

- Nie wiem, pomyślę. - Uśmiechnął się czarująco. - No, dość o mnie. Teraz pomówimy o Ellin.

Był wdzięcznym słuchaczem i zanim zorientowała się, co robi, opowiedziała o smutnym dzieciństwie i dorastaniu bez ojca. Na koniec oskarżyła byłego męża o brak zainteresowania córką.

- Zła jestem na niego, bo obiecuje, że poprawi się, gdy Lizzie będzie starsza.

- Jak on może nie kochać takiego dziecka? - szczerze zdumiał się Jack.

Sam bardzo przywiązał się do uroczej dziewczynki. Wiedział, że rozstanie z Ellin będzie tym boleśniesz, że Lizzie też odjedzie.

- Andrew nie lubi dzieci.

- Kolejny dowód, że był dla ciebie nieodpowiedni. Nadal go kochasz?

- Nie, i to od dawna. Zresztą teraz, gdy poznałam twoich rodziców oraz siostrę i szwagra, wątpię, czy w ogóle go kochałam. Na pewno nie była to prawdziwa miłość. Nasze małżeństwo to pomyłka.

- Nie. - Ujął jej dłonie w swoje. - Bo masz Lizzie.

- Słusznie. - Wstała i sprzątnęła talerze. - Przy tobie zawsze czuję się lepsza, niż jestem i rozumiem to, czego dawniej nie rozumiałam. Skąd masz tyle intuicji?

- Długo żyję i dużo czytam... Zostaw naczynia. Chodź, zaplanowałam coś ciekawszego.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Polecił, żeby usiadła na kanapie i zamknęła oczy, a sam poszedł do kuchni po tort urodzinowy, który osobiście zrobił. Postawił go przed Ellin, zgasił światło i zapalił różowe świece na torcie.

Ellin rękoma zasłoniła oczy, jak dziecko oczekujące niespodzianki. Jack z trudem oparł się pokusie, by skończyć dziecienną zabawę w urodziny i zacząć bardziej dojrzałą działalność.

- Można wiedzieć, co robisz? - spytała Ellin, - Powinnam się bać?

- Nie. Jeszcze trochę cierpliwości.

Tyle razy wyobrażał sobie, że ją gości, podaje to, co specjalnie dla niej ugotował, a potem spędzają miły wieczór we dwoje. I wreszcie była u niego, więc pragnął jak najdłużej rozkoszować się tym na razie jedynym spełnionym marzeniem.

Podobała mu się w perłowszarej bluzce i popielatych spodniach. Zresztą wszystko w niej go zachwyciło, pokochał ją całym sercem. Wywoływała stan ducha i ciała, który napełniał go zadowoleniem i niezachwianą wiarą w przyszłość.

Położył ładnie opakowany prezent nad kominkiem i postawił saksofon koło kanapy.

- No, możesz otworzyć oczy.

Ellin rozejrzała się i perliście roześmiała.

- Ale... po co...?

Jack przycupnął na kanapie i popatrzył na swe dzieło. Zrobił je z różowych kulek kokosowych, które skleił sobie wiadomą masą i jako tako uformował w tort.

- Nie podoba ci się? Według mnie to prawdziwy cud konstrukcyjny.

- Raczej zagrożenie pożarowe, ale dzięki temu chyba odkryłam, że jednak jest coś, czego nie potrafisz.

Zgarnęła trochę masy i polizała palec, ale Jack schwycił ją za rękę i zlizął resztę. Popatrzyła na niego oczami, w których bursztynowej głębi ujrzała przyszłość. Najwyższym wysiłkiem woli opanował się i zdołał dotrzymać obietnicy, że nie wykorzysta sytuacji. Lecz był do dyspozycji...

- Może nie jestem mistrzem kucharskim, ale ty na pewno jesteś łakomczuchem. Weź na wstrzymanie. Wysłuchaj specjalnej serenady, a potem szybko zgaś świececzki, żebyśmy nie musieli wzywać straży pożarnej.

Przymknął oczy i zagrał popularną melodię, improwizując i dodając nuty, które zdumiałyby kompozytora. Nieudolne naśladowanie Elvisa Presleya pobudziło Ellin do śmiechu. Po zakończeniu występu nagrodziła artystę oklaskami i zdmuchnęła część świeczek.

- Bravo! Serdecznie dziękuję.

Jack machnął rękoma, niby odganiając dym, a naprawdę, żeby wziąć prezent.

Gdy Ellin zgaszyła resztę świeczek, w powietrzu został cienki słup dymu.

- Czy otrzymam odznakę strażacką?

- Później. Pamiętałaś o życzeniu?

- Tak.

- Zdradzisz, co pomyślałaś?

- Nie, bo się nie spełni. Dziękuję za piękną serenadę.

- Wiesz, co mówią o saksofonistach?

- Słyszałam, że starzy saksofoniści po latach grania mają wargi do niczego.

- A to nieprawda. Tak dobrze gimnastykujemy usta, że całujemy po mistrzowsku.

- Coś pamiętam...

Na wspomnienie dwóch sesji pocałunkowych zarumieniła się, a Jack ucieszył, że wywarł na niej niezatarte wrażenie.

- Proszę. - Wyciągnął rękę zza pleców, - Może to wynagrodzi brak tortu.

- Po co... nie musiałeś...

Mimo protestów była wzruszona i zadowolona.

- Otwórz.

Wyjęła srebrny wisiołek w kształcie serca z misternie wygrawerowanym „E”.

- Prześliczny, istne cacko.

- To medalionik. Zajrzyj do środka.

- Och - westchnęła na widok zdjęcia Lizzie. - Ale nie znam tej fotografii. Skąd...

- Podoba ci się?

- Jeszcze jak. Dziękuję.

- Kiedyś wstąpiłem do pani Kendall i wypstrykałem cały film, żeby potem wybrać odpowiednie ujęcie.

- Wzruszasz mnie. - W jej oczach zalśniły łzy. - Nikt nie włożył tyle wysiłku... nie przygotował mi takich urodzin.

Jack pomyślał, że nikt tak mocno jej nie kochał i nie pokocha.

- Cieszę się, że sprawiłem ci przyjemność - powiedział na głos. - Pozwól, że założę ci medalionik.

Przytrzymał łańcuszek tak, że musiała wsunąć głowę w obręcz jego ramion. Ledwo poczuł zapach jej perfum, rozпалиło go pożądanie, zapragnął przytulić ją i zatrzymać przy sobie na zawsze. Zamiast tego jedynie odsunął włosy i pocałował ją w szyję.

Ellin zadrżała, jakby dotknął ukrytego źródła podniecenia. Ten delikatny, serdeczny mężczyzna zdobył jej serce, więc zamiast walczyć z sobą, powinna poddać się uczuciom, które w niej budził.

Odwróciła się i położyła mu głowę na piersi. Jack westchnął, ujął ją pod brodę i zajął w oczy.

- Złożyłem obietnicę i zawsze dotrzymuję słowa - szepnął. - Ale teraz muszę cię pocałować. Czy to będzie duże przestępstwo?

Ellin wiedziała, że przegrywa batalię. Jak ma zachować wypracowany dystans, gdy chce być jak najbliżej Jacka, wtopić się w niego?

- Nie gadaj tyle...

Jack zaśmiał się gardłowo, powiódł palcem po jej ustach i pocałował tak, że omdlała przywarła do niego całym ciałem. Wsunęła ręce pod sweter i dotknęła twardych mięśni. Jack zadrżał i opadł na kanapę, pociągając Ellin za sobą i nie odrywając się od jej ust. Przemknęła mu myśl, że mógłby tak całować do końca życia.

Chciał, by przyjemność trwała wiecznie, ale zabrakło mu tchu. Odchylił więc głowę i mocniej przytulił Ellin. Teraz też było mu dobrze, więc marzył, żeby tak zostało jak najdłużej. Lecz Ellin podciągnęła mu sweter do góry i obsypała pocałunkami pierś.

Gdy drżącą ręką rozpiął jej bluzkę, srebrne serduszko zawisło mu nad czołem. Pocałował pełne, kuszące piersi, a Ellin pomyślała, że traci kontrolę nad sytuacją. Dlaczego? Przecież nie chciała dopuścić do tego, by sprawy zaszły za daleko. Dawniej zawsze potrafiła się opanować, a teraz ogarnęło ją pożądanie, które pali ciało ogniem nie do ugaszenia.

Gwałtowność pieszczot i pocałunków zaskoczyła ich i oszołomiła. Przekroczyli granicę, zamazali ją. Ellin wiedziała, że powinna odsunąć się, póki nie jest za późno. Póki można zachować znajomość na dotychczasowej stopie, a potem wyjechać bez żalu, jaki zostawia spełniony akt.

Uznała jednak, że nie warto zastanawiać się, co będzie potem. Wiedziała, że postępuje nierozsądnie, bezwstydnie, ale nigdy nie było jej tak dobrze. Jack wyglądał jak grecki bóg, nie miała siły, żeby mu się oprzeć. Może więcej razy nie zazna takiego uniesienia? Przeżycie było cudowne, więc przestała myśleć racjonalnie. W ogóle przestała myśleć.

Jack też tracił zdolność myślenia, ale jeszcze usiłował zrozumieć, co się dzieje i dlaczego. Gdy po południu układał plan wieczoru, nie przewidział, że spotkanie urodzinowe zakończy się w stroju, w jakim człowiek się rodzi.

Od dawna marzył o takiej sytuacji, był gotów spędzić całą noc z Ellin, lecz zaniepokoiło go tempo. Wszystko dzieje się za szybko i w milczeniu. Gdzie mówione gorącym szeptem nieodzowne wyznania? Gdzie obietnice miłości do końca życia? Gdzie przysięga „nie opuszczę cię aż do śmierci” i porównanie z łabędziami?

Jemu to było potrzebne, a jeśli ukochanej nie, widocznie marzenia jeszcze nie mogą się ziścić. Zanadto się pośpieszyli, a jemu chodzi o całą przyszłość. Musi zagłuszyć zew krwi i ciała, nie poświęci uczucia na całe życie dla chwilowej przyjemności.

W podobnych chwilach żałował, że ma moralne skrupuły. Byłoby łatwiej i dużo przyjemniej, gdyby mógł przyjąć to, co Ellin oferuje i nie martwić się o skutki uboczne.

Chodziło jednak o towarzyszkę na całe życie, o przyszłą żonę, o tę jedyną wymarzoną kobietę. Najważniejszy punkt jego planu mówił, że na początku ma być tkliwa, czuła, niemal metafizyczna unia dusz, a nie tylko szaleństwo ciał. Pragnął, żeby oboje ze wzruszeniem wspominali pierwsze zbliżenie jako coś cudownego, a nie jako pomyłkę. Czując się jak dezerterski, chwycił ręce Ellin błędzące po jego ciele.

- Chyba przeskoczyliśmy kilka szczebli - odezwał się chrapliwym głosem. - Bardzo żałuję, ale musimy zwolnić.

Ellin nie chciała zwalniać. Była gotowa zapłacić wysoką cenę za swą decyzję, ale widocznie mylnie odczytała intencje Jacka. Czym zawiniła? Co złego zrobiła? Rozpalona pożądaniem tuli się do namiętnego mężczyzny, a on nagle mówi „Stop!”. Czemu tak ją upokorzył? Chciała odsunąć się, ale mocno trzymał ją jedną ręką, a drugą narzucił koc. Była zadowolona, że światło jest przyćmione i nie widać jej purpurowych policzków.

- Przepraszam - wykrztusiła. - Nie chciałam...

Jack przerwał jej pocałunkiem.

- Nie mów tak. Pragnę wierzyć, że chciałaś, bo w przeciwnym razie to znaczyłoby, że jestem za łatwy.

- Ty? - Ukryła twarz w dłoniach. - Czuję się strasznie, okropnie.

- Dlaczego? - zdziwił się szczerze. - Bo ja fantastycznie. - Wysunął się spod niej i położył na boku. - Boję się posądzać cię, że po prostu igrasz z moimi uczuciami.

- Nie o to chodzi... Pierwszy raz coś podobnego mi się przytrafiło. Nigdy nie poniosło mnie tak, żebym przestała myśleć.

- Czy to nie wspaniałe?

- Nazwano mnie Królową Śniegu, bo zawsze kontrolowałam sytuację.

- A teraz? - Popatrzył na nią bardzo poważnie. - Rozbroił cię tort, prawda?

To był cały Jack; człowiek delikatny, o gołęmbim sercu. Ellin roześmiała się i wstyd zniknął.

- Nie, raczej saksofon. I twoje wprawne usta... i twoje ręce, i... Mówić dalej?

- Bardzo proszę.

- I fakt, że tyle serca włożyłeś w przygotowanie urodzinowego przyjęcia. Dziękuję, że powstrzymałeś mnie przed...

- Zaraz, zaraz, wcale nie mówiłem, że musimy przestać. - Przytulił ją. - Ja tylko powiedziałem, że powinniśmy zwolnić tempo i ustalić podstawę naszego działania. W każdej chwili jestem gotów zacząć, gdzie przerwaliśmy, ale najpierw chcę coś powiedzieć.

- Nie, ja pierwsza. - Musnęła palcem jego usta. - Jestem straszną egoistką i chciałam przeżyć rozkosz z tobą, nawet gdyby to miał być tylko ten jeden raz. Ale to nieuczciwa gra, bo niedługo wyjadę i wszystko się skończy.

- Nie musi tak być, bo nie musisz wyjeżdżać.

- Tutaj nie mam co robić, nie widzę siebie. Wysłałam kilka podań i na pewno dostanę gdzieś pracę. Muszę myśleć o przyszłości, o Lizzie. W Waszyngtonie nic nie zdziałam.

- Możesz zdziałać.

Musiał przekonać ją, że jej przyszłość jest z nim, w Waszyngtonie. Przez sześć tygodni niewiele osiągnął, ale jeszcze zostało drugie tyle.

- Co mianowicie? Jedyna tutejsza gazeta już ma redaktora, więc muszę szukać pracy gdzie indziej. Ty też mógłbyś...

- Nie namawiaj, żebyśmy wyjechali.

- Więc ty nie namawiaj, żebyśmy została - odparowała. - Spójrzmy prawdzie w oczy; ja nie chcę zostać, ty nie chcesz wyjechać. To węzeł nie do rozwiązania. Dlatego nie mogę pozwolić sobie na głębsze uczucie, nie mogę zakochać się w tobie. Przepraszam, jeśli mnie źle zrozumiałeś.

Jack nie odpowiedział, więc wystraszyła się, że zraniła go. A tego nie chciała za żadne skarby.

- Powiedz coś.

- Kocham cię.

Szczerłość wyznania na chwilę odebrała Ellin mowę.

- Oj, chyba zamierzałeś powiedzieć coś innego.

- Tak. Chciałem powiedzieć, że jesteś dla mnie wymarzoną kobietą. Wiem to od pierwszej chwili. Jesteś moją drugą połową, na którą tyle lat czekałem. Nie przyszło ci do głowy, że dlatego tu się znalazłaś? Czy uważasz, że los jest rozrzutny i wysłał cię tu tylko po to, żebyś przygotowała tuzin numerów naszego tygodnika?

Ellin bezskutecznie próbowała się odsunąć.

- Przestań! Już dawno pogodziłam się z tym, że jestem skazana na samotność. Dlatego moje małżeństwo było nieudane i dlatego tak angażuję się w pracę.

- Moja droga, oszukujesz się. To najgłupsze tłumaczenie, jakie słyszałem. Już ci mówiłem, dlaczego twoje małżeństwo skończyło się rozwodem. Nie było ci pisane żyć z Andrew. A w pracy mocno się angażujesz, bo masz zdolności potrzebne w tym zawodzie. I jesteś dobra dzięki stłumieniu popędu płciowego.

- Dziękuję, doktorze Freudzie. Ile płacę za wnikliwą psychoanalizę? A może to druga zwrotka urodzinowej serenady?

- Nie broń się sarkazmem. Możemy dojść do porozumienia.

- A jeśli nie chcę? Nie wzięłaś pod uwagę, że mogę chcieć czegoś innego? - Usiadła i rozejrzała się. - Gdzie moje rzeczy? Muszę wracać do domu! Gdzie moje buty?

- Ellin?

- Co?

- Uspokój się. - Zdjął z niej koc i mimo protestów pomógł się ubrać, a potem wyjął jej buty spod kanapy. - Czy teraz czujesz się lepiej?

- Trochę.

Podniosła jego sweter i podała na wyciągniętej dłoni, ponieważ bała się zbliżyć. Jack bez pośpiechu włożył sweter i buty.

- Czy teraz, gdy jesteśmy przyzwoicie ubrani, mogę skończyć, co chciałem powiedzieć?

- Mów, ale się streszczaj. - Przysiadła na oparciu kanapy.
- Śpieszę się do domu.

Jack założył ręce do tyłu i przeszedł się po pokoju.

- A zatem jak najkrócej: daję pani wypowiedzenie.

- Przepraszam, chyba się przesłyszałam.

- Mnie jednorazowa zabawa nie odpowiada. Dwukrotna czy przez miesiąc też nie. Nie będziemy bawić się w kochanków, żeby potem się rozstać.

- Ja wcale...

- Poza tym, jeśli się zabawimy... a mam nadzieję, że już wkrótce, bo jestem u kresu wytrzymałości... zaczniemy miłosne igraszki po uzgodnieniu, że będą naszą rozrywką do końca życia.

- Jack, ja...

- Chwileczkę, jeszcze nie skończyłem. Przepraszam, że cię uwodziłem, ale nie życzę sobie być przedmiotem zaspokajania zdeprawowanego pożądanego. Nie nadaję się do takiej roli.

Zdumiona milczała przez kilka sekund, po czym wybuchnęła śmiechem, przekonana, że Jack żartuje.

- Skończyłeś?

- Jeszcze tylko ostrzeżenie.

- Przed czym?

- Przed tym, że nie nauczyłem się godnie przyjmować odmowy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jack opadł na krzesło przy biurku Jany i po chwili rzekł ostro:

- Przestań kombinować, jak wykręcić się od podatku i wysłuchaj nieszczęsnego brata.

Jana natychmiast oderwała wzrok od monitora.

- Co się stało? Zbroiłeś coś na dyżurze w stołówce?

- Gorzej.

- O, widzę, że sprawa jest poważna. Braciszku, zrobię, co mogę.

- Czy znasz jakiś przepis na napój miłosny albo skuteczne zaklęcia?

- Niestety... - Jana mrugnęła i klasnęła w dłonie. - Ale w Internecie znalazłam świetny przepis na sos do parówek.

Jack nie miał nastroju do żartów.

- Potrzebne mi czary, ale w ostateczności przyda się i siostrzana rada.

- Mam doktorat z porad sercowych... Co szanownemu panu dolega?

- Jest marzec.

- Księgowej nie trzeba o tym przypominać. Za miesiąc wydostanę się z piekła podatkowego i wrócę do normalnego życia.

- A ja za dwa tygodnie może stracę życie. Ellin wyjedzie z Waszyngtonu, jeśli nie uda mi się nakłonić jej, żeby zmieniła decyzję i tu została. Jeżeli ona odjedzie w nieznane...

- O, czyli panusia z wielkiego miasta jednak oparła się przysłowiowemu wdziękowi Maddenów. Widocznie nosi czaroodporną kolczugę.

Jack rzucił siostrze ponure spojrzenie. Był zanadto przygnębiony, aby zdobyć się na dowcipną odpowiedź.

- Wyglądało na to, że robimy postępy, posuwamy się naprzód. Spotykaliśmy się, rozmawialiśmy o sobie i na inne tematy. Mój plan zadziałał...

- No i?

- Udało mi się zaprosić Ellin do domu czternastego lutego, czyli w dniu jej urodzin. Przygotowałem kolację i tort, dałem ładny wisiorek, zagrałem na saksofonie. Krótko mówiąc, miło spędziliśmy czas.

- Dobry początek.

- Ale od tego wieczoru unika mnie jak zadżumionego. Poza redakcją nie chce mnie znać, zachowuje się, jakbyśmy byli tylko współpracownikami i nic nas nie łączyło. Nic nie rozumiem. Mój gulasz wołowy był całkiem niezły...

Jana zrobiła przerażoną minę.

- Och, nie! - zawołała. - Powiedz, że nie.

- O co chodzi?

- Znam cię na wylot i wiem, jak ta twoja mózgowica pracuje. Chyba nie wyznałeś Ellin miłości?

- Wyznałem. Co w tym złego? Żadnej kobiety tak nie kochałem.

- A czy przynajmniej przemilczałeś zawrotne tempo zalotów naszych przodków?

- Do czego zmierzasz?

- Chyba nie wyskoczyłeś z porównaniem o łabędziach? No, przyznaj się!

- Hmm... coś tam bąknąłem. Jana mocno uderzyła go w rękę.

- Ty mędrku od siedmiu boleści! Takiej kobiecie nie mówi się o uczuciach. Szczególnie tak prędko.

- Czemu?

Naprawdę nie pojmowałem, o co siostrze chodzi. Wychowano go w przeświadczeniu, że od razu pozna kobietę, którą los mu przeznaczy. Wreszcie otrzymał od losu

prawdziwą miłość, wie, że to przeznaczenie, a Jana twierdzi, że powinien zachować to w tajemnicy.

- Jak na inteligentnego człowieka czasem bywasz strasznie tępy. Przestraszyłeś Ellin, nawet przeraziłeś.

- Ja? Żarty na bok. Przecież nie mam w sobie nic z tyra. Jestem wrażliwy, czuły, tyle we mnie z dziecka... Czym mogłem ją przerazić?

- Tym, że jesteś ideałem. Za dobry z ciebie człowiek, za dużo umiesz.

- Jesteś złośliwa.

- Mówię prawdę. - Jana smutno pokręciła głową. - Pamiętam ciebie jako nieśmiałego, chudego wyrostka w okularach. Byłam świadkiem, jak z wolna przekształcałeś się w niezwykłego mężczyznę, ale czasem nawet mnie wydajesz się nierzeczywisty.

Jack zwiesił głowę i zmierzwił już i tak bardzo potargane włosy.

- Nie wiedziałem, że znośny charakter będzie kulą u nogi w miłości.

- Pozwól, że coś ci wytłumaczę. - Jana przesiadła się i ujęła jego ręce w swoje. - Chcesz wiedzieć, gdzie pies pogrzebany?

- Po to tu przyszedłem.

- Nie widzisz, jaki jesteś niezwykły.

- Też mi wyjaśnienie. Dziękuję, siostrze, że mnie oświeciłaś, ale jednak poszukam czarodziejskich zaklęć.

- W oczach innych jesteś bohaterem, ale sam uważasz, że wszystko, co robisz, jest zwyczajne. I to jest takie niezwykłe.

- Co to ma wspólnego z tym, że Ellin mnie unika? Dałem jej jasno do zrozumienia, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

- Wiesz, polubiłam ją - przyznała się Jana. - Początkowo niezbyt przypadła mi do gustu, ale stopniowo zdobyła moją sympatię.

- Jak do tego doszło?
 - Rozmawiałam z nią o rodzinie, o mężu, małżeństwie.
 - I co ci mówiła? Przecież słabo się znacie.
 - Kobiety często się sobie zwierniają, bo w ten sposób nawiązują kontakt. Mężczyźni coś tam mrukną, postawią piwo i to nazywają zawieraniem męskiej przyjaźni.
 - Zgłaszam sprzeciw, bo to nie tylko wielkie uproszczenie, ale...
 - Święta prawda, więc się nie unoś.
 - Dobrze. Wyjaśnij wreszcie, do czego zmierzasz.
 - Z tego, co mi mówiła, wywnioskowałam, że nie ufa ludziom, boi się bliższych kontaktów.
 - Wiem, ale to przeszłość, która się nie liczy.
 - Głuptasie, przeszłość bardzo się liczy.
- Jana zamachnęła się i grzmotnęła go w głowę.
- Oj, boli! - zawołał Jack. - Zamiast mnie bić, poradź, co mam robić, jak przekonać Ellin, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Czas ucieka.
 - Musisz się wycofać, choćby nie wiem ile cię to kosztowało. Pamiętasz przybłądę Trampa? Zjawił się chudy jak szczapa i wygłodzony, ale jadł, tylko gdy chowaliśmy się w domu.
 - Co pies ma z tym wspólnego?
 - Chciałeś zrobić pułapkę, pamiętasz? Żeby go złapać i się nim zaopiekować. Byłeś przekonany, że to będzie dla jego dobra. Pamiętasz słowa ojca?
 - Nie bardzo. Miałem dziesięć lat...
 - Ja też, ale doskonale pamiętam. Ojciec powiedział, że ktoś strasznie tego psa traktował, więc i nas się boi. Nie możemy zrobić absolutnie nic, żeby nam zaufał i musimy czekać, aż przyjdzie do nas z własnej woli.

- Wiem, co było dalej. Najpierw stawaliśmy na ganku, potem coraz bliżej i bliżej miski z jedzeniem. Tramp w końcu zrozumiał, że nie zrobimy mu krzywdy.

- I potem był najlepszym psem na świecie. Przez piętnaście lat.

- A morał tej powiastki?

- Wycofaj się, daj Ellin odetchnąć, nabrać zaufania. Ktoś ją zranił, więc trochę potrwa, nim sobie uświadomi, jakim jesteś wartościowym człowiekiem. Wie o twoich uczuciach i decyzja należy do niej. Tobie pozostaje stać na ganku i czekać.

- Czekać! - Jack ciężko westchnął. - A czasu tak mało...

Niemal słyszał, jak czas ucieka.

Ellin schowała do teczki jedenasty numer „Post - Ette”. Zredaguje jeszcze tylko jeden, a potem wróci Jig Baker i jej pobyt w Waszyngtonie dobiegnie końca. Przypomniało się jej, jak na początku myślała, że za trzy miesiące będzie szaleć z radości, iż wraca do prawdziwego życia. A tymczasem życie w Waszyngtonie okazało się niewiarygodnie prawdziwe.

Wstawiła teczkę na półkę. Głównym tematem omawianym w przedostatnim numerze był sprzeciw radnych wobec budowy jaskini gry. To, że miasto jeszcze trochę pozostanie nieskażone brudem z zewnątrz było kolejnym zwycięstwem pewnego nauczyciela.

Ellin cieszyła się, że nie będzie miała Jacka na sumieniu. Przez miesiąc udało się jej nie pozostać z nim ani przez chwilę sam na sam, co było zdumiewające przy jego uporczywych wysiłkach i częstych kontaktach zawodowych.

Od dnia urodzin wiedziała, że nie może liczyć na opanowanie w obecności Jacka. Umiar we wszystkim, który rzekomo jest zbawienny, przy nim był niemożliwy. Zrozumiała, że nie zdoła nic uszczknąć. Musi zdecydować się; albo otrzyma wszystko, albo nic.

Wobec tego znowu skryła się za maską Królowej Śniegu, chociaż wiedziała, że jej chłód rani Jacka, a zachowanie zaskakuje. Pocieszała się, że tylko wmówił sobie wielką miłość, ale jest młody, więc przeboleje rozstanie i znowu się zakocha. A ona będzie mogła dalej spokojnie żyć, bo postępuje, jak należy.

Dziwiło ją jednak to, że Jack tak łatwo zrezygnował. Znała jego niezbitą pewność, że wszystko jest zapisane w gwiazdach, więc spodziewała się długiego oporu, nawet walki. Widocznie uznał, że ona jednak nie jest kobietą, którą los mu przeznaczył. Może różnice charakterów są istotniejsze niż pociąg fizyczny? Nie знаła przyczyn, ale powinna być zadowolona, że Jack przestał ją prześladować. Dlaczego więc posmutniała?

- El, idziesz do domu?

Deanie wstała zza biurka, więc Owen podskoczył, by podać jej płaszcz. Wybierali się na kolację dla uczczenia pierwszej randki sprzed miesiąca oraz na premierę „Raymonda i Julianny”.

- Jeszcze trochę zostanę, bo za godzinę mam rozmowę z redaktorem naczelnym „Seattle Dispatch”.

Deanie uściskała ją.

- Szkoda, że wyjeżdżasz, będę za tobą tęsknić. Rozruszałaś nas i dzięki tobie inaczej patrzymy na wiele rzeczy.

Owen nieśmiało poklepał ją po ręce.

- Ja też wolałbym, żebyś została, ale pewno masz plany nie na miarę małego miasta.

- Zgadłeś. No, idźcie i bawcie się dobrze. Spotkamy się przed przedstawieniem.

Pomyślała, że dzięki mieszkańcom Waszyngtonu sama dużo spraw ujrzała w nowym świetle i zaczęła mniej kierować

się rozumem, a więcej sercem. Szkoda, bo myślenie nie jest wcale bolesne...

Deanie zatrzymała się w drzwiach.

- Zapowiadano burzę, a nawet huragan. Rzadko zdarza się o tej porze roku, ale jak już jest, to bywa strasznie. Uważaj na siebie.

- Dziękuję za ostrzeżenie.

Uporządkowała biurko, zasiadła przy komputerze i układając pasjansy, rozmyślała o swym dalszym losie. Najlepsze oferty otrzymała z St. Louis i Seattle i wybrała tę drugą, ponieważ Seattle leży dalej, aż o dwie strefy czasowe od Waszyngtonu. Miała nadzieję, że taka odległość pomoże zapomnieć o Jacku, usunąć go z serca.

Półtorej godziny później, pod koniec rozmowy, usłyszała poważną propozycję. Była prawie pewna, że ją przyjmie, lecz ostateczną decyzję podejmie po wizycie w Seattle. Praca tam oznaczała osiągnięcie wymarzonego celu. Wprawdzie gazeta nie była największą w Seattle, ale miała doskonałą opinię. Redaktor zaproponował pensję wyższą, niż Ellin się spodziewała, a samo miasto podobno było bardzo ciekawe.

Głównym jednak powodem, dla którego zdecydowała się na przeprowadzkę do Seattle, było to, że córka znajdzie się bliżej ojca. Wiedziała, że Lizzie trudno będzie rozstać się z miejscem, w którym zapuściła korzenie i nagle rozkwitła w środku zimy. Dziewczynka mocno przywiązała się do prababci i zaprzyjaźniła z grupką dzieci, a nawet z dorosłymi. Szczególnie z jedną osobą, z którą rozstanie będzie bolesne.

Ellin liczyła na to, że złagodzi ból, zapewniając dziecku kontakt z ojcem. W Waszyngtonie zrozumiała, jak ważna jest rodzina. Własnej nie mogła odtworzyć, bo ojciec nie żył, a matka była zajęta tylko sobą, ale córce chciała zapewnić normalny dom. Łudziła się, że Andrew zmądrzał i znajdzie drogę do serca dziecka.

Bardzo żałowała, że w jej życiu nie ma miejsca dla Jacka. Wiedziała, że będzie za nim tęsknić, ale doszła do wniosku, że musi z nim zerwać, gdyż platoniczna znajomość jest niemożliwa. W tej chwili nie uśmiechała się jej perspektywa oglądania podziwianego nauczyciela, ale poradzi sobie. Miała dziennikarski obowiązek iść na przedstawienie, napisać recenzję z występu i zamieścić w ostatnim numerze.

Na ulicy przeszył ją lodowaty wiatr jakby prosto z Arktyki. Zmartwiła się, że przymrozek zaszkodzi jabłoniom, będącym źródłem utrzymania wielu rodzin, i zwarzy żonkile w donicach przy Main Street. Przyrównała żółte kwiaty do swych uczuć, które też przedwcześnie zakwitły i zapewne nie przetrwają zetknięcia z zimną rzeczywistością.

Przedstawienie wywołało entuzjazm publiczności i owację na stojąco. Odtwórczyni głównej roli serdecznie podziękowała autorowi i reżyserowi i wręczyła mu bukiet herbacianych róż.

Po rozmowie z aktorami Ellin właśnie chowała notes, gdy zjawiał się Jack.

- Podobała ci się sztuka? - zapytał, jakby tylko jej opinia się liczyła.

- Szalenie. Chyba jesteś dumny z takich utalentowanych aktorów...

- Muszę z tobą pomówić. Wstąpisz do mnie? Naprawdę na chwilę.

- To niezbyt dobry pomysł.

Zarumieniła się na wspomnienie ostatniej wizyty, wolałaby nie ryzykować spotkania sam na sam.

- Chcę tylko porozmawiać i dać ci coś na pamiątkę przed wyjazdem.

Zawahała się. Czy przyznać się, że właściwie przyjęła posadę w Seattle? Jack ma prawo dowiedzieć się o tym od niej, a nie od obcych.

- Dobrze, ale naprawdę na krótko.

Jack rozpromienił się, więc natychmiast ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

- Poczekaj moment, pojedziemy razem.
- Nie. Samochód będzie mi potrzebny.
- Wobec tego spotkamy się za godzinę.
- Dobrze.

Jack ze ściśniętym sercem patrzył na odchodzącą. Czy tak odejdzie od niego na zawsze? Trochę rozminął się z prawdą, gdyż chciał nie tylko rozmawiać. Posłuchał rady siostry, trzymał się z dala od Ellin, lecz dłużej nie mógł czekać. Klamka zapadnie teraz albo nigdy. Dziś nastąpi kulminacyjny punkt wielkiego planu, czyli Jack Madden oświadczy się Ellin Bennett.

Wrócił do domu najprędzej, jak mógł. Włożył róże do wazonu, a butelkę szampana do wiaderka z lodem. Zapalił świece, rozpylił aromatyczny olejek, poprawił poduszki i rzucił na stolik list od Jiga Bakera. Był spięty i podniecony jak nigdy.

Wreszcie przysiadł na kanapie, otworzył etui z pierścieniem i zapatrzył się w kamień misternie oprawiony w złoto. Łudził się, że wszystko pójdzie według planu, był przygotowany na ewentualne pytania i usunięcie wszelkich wątpliwości. Pragnął spędzić z ukochaną całe życie i nie darowałaby sobie, gdyby nie wykorzystał ostatniej nadarzającej się okazji. Nie pozwoli, żeby Ellin odjechała nieświadoma tego, jak bardzo ją kocha.

Mimo romantycznych przygotowań liczył się jednak z tym, że dostanie kosza. Miał nadzieję, że zdoła przyjąć odmowę po męsku i się nie skompromituje.

Gdy rozległ się dzwonek przy drzwiach, podskoczył nerwowo i schował pierścienie do kieszeni.

- Teraz się wszystko rozstrzygnie - szepnął. - Losie, bądź dla mnie łaskawy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Słyszając dźwięki gitary, Ellin od razu domyśliła się, że nie chodzi o towarzyską pogawędkę. Pokój tonął w ciepłym blasku świec, w powietrzu unosił się delikatny zapach róż, na stoliku stał szampan. To ma być tło do zwykłej rozmowy?

Jack w czarnych spodniach i golfie zrobił na niej piorunujące wrażenie. Miała ochotę odwrócić się na pięcie i uciec. To, co ma do powiedzenia, można przekazać pocztą elektroniczną. Nie zdążyła uciec...

Jack poprosił, by usiadła i bez wstępu wyznał:

- Tęskniłem za tobą.
- Byłam bardzo zajęta.
- Naprawdę? A ja myślałem, że mnie unikasz. Ale teraz jesteś tutaj i tylko to się liczy.
- Muszę zaraz wracać, bo nadciąga burza.
- Więc do rzeczy. - Nalał szampana. - Pijmy!
- Z jakiej okazji?
- Ukończyłem powieść.
- Gratuluję. Ostatnio sporo nad nią pracowałeś.
- Miałem czas, bo nie udzielałem, się towarzysko. Usiadł nieco bliżej, oczy podejrzenie mu błyszczały.

Ellin pamiętała, że poprzednio taki rozpalony wzrok ją rozbroił, więc przezornie się odsunęła. Żeby zapobiec sytuacji z pierwszej wizyty.

- Proponuję toast za przyszłość.
- Więc pijmy za przyszłość i twój pisarski sukces.
- Pisałem dla siebie, żeby pozbyć się balastu. Nie zależy mi na tym, czy książka ukaże się drukiem.
- Głupstwa pleciesz. - Odstawiła kieliszek. - Po co się wysilałeś, jeżeli nie chcesz zebrać żniwa i dostać nagrody?
- Praca sama w sobie jest nagrodą. Sądziłem, że już o tym wiesz. Jest tylko jedno szczęście warte zachodu: móc żyć według własnych zasad.

- Kto tak twierdzi?

- Christopher Morley. Ale jego słowa wyrażają moją filozofię życiową.

- Powinieneś jak najszybciej wysłać maszynopis. Dam ci kilka adresów.

Jack wziął ze stolika kopertę, jakby własna praca przestała go interesować.

- Dziękuję. Dostałem list od Jiga. Wyobraź sobie, że grzebanie w ziemi tak go wciągnęło, że przechodzi na emeryturę i zajmie się wyłącznie archeologią.

- O! Myślałam, że to tylko hobby.

- Niby tak, ale wyprawa potrwa dłużej, a znajomy naukowiec pozwolił mu kontynuować na prawach praktykanta, więc skorzystał z okazji.

- A co z „Post - Ette”?

- Zamierza sprzedać i pyta, czy znam kogoś, kogo to interesuje. Patrz, mogłabyś zostać właścicielką gazety.

- Co? - zawołała zdumiona. - Nie mam tyle gotówki.

- Rozmawiałem z Paulem Davisem, dyrektorem banku. Gotów jest ci pomóc.

- Już o tym z kimś rozmawiałaś?

- Sondowałem grunt.

- Niepotrzebnie, bo nie kupię „Post - Ette”. Przyszłam dzisiaj, żeby powiedzieć ci osobiście...

- Co takiego?

Niedbale położył rękę na oparciu kanapy, a Ellin poczuła, że zaczyna tracić głowę.

- Rozmawiałam dziś z właścicielem dziennika "Seattle Dispatch", który zaproponował mi stanowisko zastępcy redaktora naczelnego.

Jack zamilkł na kilka sekund, a gdy się odezwał, głos miał matowy, jakby martwy.

- O czymś takim marzyłaś, prawda?

- Tak. Chcę pojechać do Seattle i na miejscu się rozejrzeć. Jeśli miasto przypadnie mi do gustu, przyjmę tę propozycję.

Jacka ogarnęły straszne wątpliwości i jego dotychczasowa niezachwiana pewność nagle się ulotniła. Po raz pierwszy naprawdę poczuł, że straci Ellin. I Lizzie. Wsunął rękę do kieszeni i dotknął etui z pierścionkiem, jakby to był talizman.

- Ellin, ja...

- Przemyślałam wszystkie za i przeciw - przerwała pośpiesznie. - Robię to dla Lizzie.

- Jej tu dobrze.

- Tak, ale powinna być bliżej ojca. Nie chcę postępować, jak moja matka, której teraz mam za złe, że właściwie nie znałam ojca.

Opowiedziała o korespondencji z ojcem, o spóźnionych wyrzutach sumienia.

- Andrew teraz jest obojętny, ale to jednak ojciec i Lizzie powinna go widywać. Jeszcze nie tak dawno ten argument nie wpłynąłby na moją decyzję, bo myślałam wyłącznie o pracy. Ale pobyt tutaj, znajomość z tobą, zmieniły mnie. Poznałam wartość rodziny...

Jack westchnął i nerwowym ruchem przygładził włosy. Był odczytany i umiał dostrzec ironię, nawet gdy dotyczyła jego samego. Zrozumiał, że wpadł we własne sidła. Przez kwartał przekonywał Ellin, że więzy rodzinne i przyjaźń są ważniejsze niż zawodowe osiągnięcia. Widocznie dobrze ją uczył, skoro pojęła lekcję i dla dobra córki przeprowadza się bliżej Andrew.

Tak bardzo pochłaniało go planowanie przyszłości z wymarzoną kobietą, że nie brał pod uwagę potrzeb dziecka, które zamierzał uznać za swoje. Błędnie zakładał, że stworzą szczęśliwą rodzinę. Pokochał Lizzie, a ona go uwielbiała, ale już miała ojca. Zacisnął palce na etui, jakby chciał z niego wydusić rozwiązanie.

- Właściwie ja też mógłbym się przenieść - rzekł na pozór spokojnie, choć ogarniało go przerażenie. - Jestem dobrym nauczycielem, wszędzie znajdę pracę.

Ellin poczuła łzy napływające do oczu i strach przenikający serce. Rzadko płakała, a właśnie teraz musi być silna.

- To nie ma sensu. Za bardzo jesteś tutaj wrośnięty, tak wiele ludzi na ciebie liczy. Jesteś im potrzebny.

- Mnie tylko ty jesteś potrzebna.

- To najmilsze kłamstwo, jakie w życiu słyszałam. Oboje wiemy, że jesteś duszą tego miasta i nigdzie indziej nie będziesz szczęśliwy. Tu jest twój dom.

- Mógłby być i twój.

- Nie mogę zostać.

- Jeśli się rozstaniemy, nie dowiemy się, co moglibyśmy wspólnie przeżyć.

- Zaszłujesz na kobietę, która odwzajemni twoją miłość, a ja jestem uczuciowo do niczego.

- Czy to znaczy, że nigdy nie mogłabyś mnie pokochać? Ellin?

- Nie. Tego nie powiedziałam. - Ogarniała ją bezdenna rozpacz na samą myśl o życiu bez Jacka, lecz uważała, że rozstanie jest jedynym rozsądnym wyjściem. - Mówię, że nie mogę cię kochać. Zabieram Lizzie do Seattle, żeby nie dorastała bez ojca. Na pewno znajdziesz kobietę bez zobowiązań, zaszłości i będziesz miał własne dzieci. Życzę ci szczęścia.

- Kocham ciebie i Lizzie i chcę, żebyście wy stanowiły moją rodzinę.

- Znajdziesz inną kobietę. Taki mężczyzna jak ty nie będzie długo sam. Muszę już iść.

Wstała i wzięła płaszcz.

Jack znowu zacisnął palce na etui. Po otrzymaniu listu od Jiga ożywiła go nadzieja, uwierzył, że Ellin skorzysta z okazji posiadania własnego pisma, choćby tylko tak małego tygodnika. Był przekonany, że największą przeszkodą są względy zawodowe. Jego ufne serce zwiodło go i dlatego wierzył, że zdobędzie miłość ukochanej.

Takiego obrotu sprawy i takiej przeszkody nie przewidział. Pokochał dziecko, którego nie zatrzyma przy sobie, bo nie może zabrać go prawowitemu ojcu. Egoistycznie pragnął być najważniejszy dla Ellin i Lizzie, a teraz okazuje się, że musi pozwolić im odejść. Ellin położyła rękę na klawce.

- Wspomniałeś, że chcesz mi coś dać. Chodziło o twoją powieść?

- Co? Aha. Tak... tak...

Dławiła go rozpacz, ale wepchnął pierścionek głębiej do kieszeni, poszedł do gabinetu, jako tako się opanował i wrócił z maszynopisem.

- Dziękuję, zaraz przeczytam.

- Nie pali się.

- Czuję się zaszczycona, że mi ją powierzasz. Chętnie służę fachową radą...

Jack pomyślał, że tego od niej nie potrzebuje.

- Dobranoc - rzekł głucho.

- Dobranoc.

Długo stał na werandzie, wpatrując się w ciemność, która pochłonięła Ellin.

W sobotę po śniadaniu Ellin półgłosem opowiedziała babci o swych planach. Lizzie to usłyszała i krzyknęła, tupiąc nogą:

- Nie chcę nigdzie jechać! Nie chcę!

- Seattle jest bardzo ładnie położone. Zobacysz ocean, mewy.

- Nie chcę zobaczyć oceanu! Nie lubię mew! Chcę zostać z babcią.

Ellin wzięła ją na kolana i przytuliła.

- Kochanie, tatuś jest w Seattle. Będziecie częściej się widywać.

- Ja chcę zostać tutaj.

Lizzie zeskoczyła z kolan matki i wybiegła, trzaskając drzwiami. Ellin zerwała się z miejsca, ale pani Boswell ją powstrzymała.

- Zostaw, daj jej się wyłóścić. Argumenty dyktowane przez rozsądek nie trafiają do małego dziecka.

Ellin serdecznie ją uściskała.

- Babciu, ty rozumiesz, dlaczego się przenoszę, prawda? Muszę...

- Rozumieć, rozumiem, ale wcale mi się to nie podoba. Wcale.

- Obiecuję, że będę często przyjeżdżać.

- To nie to samo...

- Pójdę dokończyć książkę. Zawołaj mnie, gdy trzeba będzie zabrać się do lunchu.

Trzy godziny później odłożyła maszynopis na poduszkę. Poznała Jacka z innej strony i chwilami płakała ze wzruszenia. Otworzyła szufladę, by wyjąć suchą chusteczkę i zobaczyła bombonierkę z kartkami do ojca.

Kartki miały przypominać o straconych możliwościach, a teraz usprawiedliwiać decyzję o zamieszkaniu w Seattle. Po przeczytaniu maszynopisu zaczęła jednak zastanawiać się nad tym, czy uciekając od Jacka, nie zaprzepaści najważniejszej szansy.

Książka opowiadała o przeżyciach amerykańskiego studenta w Afryce, w kraju rozdartym i niszczonego przez plemienne waśnie. Młody człowiek był świadkiem strasznych okrucieństw, bezlitosnej rzezi niewinnych, niszczenia wiosek.

W zderzeniu z tamtejszą rzeczywistością jego idealizm został rozbity w proch i pył. Narrator widział dzieci umierające z głodu, dzieci z bronią w ręku, kaleki bez rąk i nóg. Na dziennikarstwie uczono obiektywizmu, lecz ten idealista nie potrafił beznamiętnie i chłodno pisać o krzyczącej niesprawiedliwości. Chciał z nią walczyć.

Wyjechał z Afryki rozczarowany, bez złudzeń, i wznosił mur między zewnętrznym światem i swoim. Wrócił do rodzinnego miasteczka, w którym nikogo nie morduje się z powodu nienawiści etnicznej. Został nauczycielem, bo - wierzył, że jedyna droga prowadząca do ulepszenia świata wiedzie przez kontakt z przyszłością, którą zbudują nasze dzieci.

Ellin przytuliła maszynopis do piersi. Nie wątpiła, że powieść jest autobiograficzna i Jack przelał na papier swą duszę. Mógł tak poruszająco i prawdziwie opisać okrutne wydarzenia, bo na własne oczy widział skutki wojny.

Nic dziwnego, że nie chciał o tym mówić. Jego siła nie polegała na narzucaniu poglądów, lecz na prowadzeniu innych ku zrozumieniu przez dawanie przykładu. Ellin zawstydziała się, ponieważ uważała, że Jack marnuje talent w takiej miejscinie jak Waszyngton. Sądziła, że on za mało robi, a tymczasem osiągnął to, do czego większość ludzi bezskutecznie dąży, a mianowicie wcielał w życie swe ideały i przekonania.

Wróciła do ostatniej strony i na głos przeczytała fragment, w którym narrator wyjaśnia swój wybór, przywołując słowa Ralpa Waldo Emersona: Należy śmiać się dużo i często; zdobyć szacunek inteligentnych ludzi i miłość dzieci... zostawić po sobie trochę lepszy świat... wiedzieć, że dzięki nam przynajmniej jednej osobie żyto się lepiej. To dowód, że się powiodło.

- Ellin? - Pani Boswell uchyliła drzwi. - Czy Lizzie jest u ciebie? - Zdrzemnąłam się trochę, a teraz nie mogę jej znaleźć.

- Chyba bawi się w swoim pokoju.

- Nie.

- Jest zła, bo wyjeżdżamy do Seattle i pewno gdzieś się schowała.

Ellin przeszukała cały dom, nie znalazła córki i ze strachu oblała się zimnym potem.

- Chodź tu! - zawołała pani Boswell głosem mrozącym krew w żyłach.

Ellin wbiegła do kuchni i pytająco spojrzała na śmiertelnie bladą staruszkę.

- Patrz, drzwi są otwarte. Lizzie wybiegła nie ubrana. Musimy szybko ją znaleźć, bo idzie mróz.

- Babciu, zostań tu i czekaj, bo może Lizzie zaraz wróci. Zadzwoń na policję i powiedz, że zginęło dziecko w czerwonej piżamce. Im więcej ludzi będzie szukać, tym prędzej znajdziemy.

Narzuciła kurtkę i wybiegła z domu.

Jack leżał na kanapie, obracał w palcach pierścioneł i zastanawiał się, co z nim zrobić. Po długim namyśle postanowił zatrzymać go jako kosztowne wspomnienie niedorzecznych marzeń, które się nie ziściły. Z rozmyślań wyrwał go sygnał krótkofalówki. Wysłuchał komunikatu, machinalnie wsunął etui z pierścionkiem do kieszeni, pobiegł do samochodu i pojechał na Dogwood Street.

Zastał Ellin bliską załamania, więc objął ją przyjacielskim gestem i zapewnił, że Lizzie się znajdzie. Gdy zgłosił się drugi ratownik, poprosił go, by zorganizował akcję, i wyszedł z Ellin.

Na poszukiwanie Lizzie ruszyła połowa miasta: młodzi chodzili od domu do domu, pani Kendall ze znajomymi pytała w sklepach i biurach, strażacy i ochotnicy przeszukiwali

określone rewiry. Nikt nie widział dziecka w pizamie. Po godzinie nawet Jack zaczął się niepokoić, lecz nadal pocieszał Ellin.

- Na pewno ktoś ją wypatrzy.

- Jest mróz, a ona tak lekko ubrana. Co będzie, jeśli nie znajdziemy jej przed zmierzchem?

- Powiedziałem, że znajdziemy, prawda?

- A może ją porwano? Nie daruję sobie, jeśli spotka ją coś złego.

- Opanuj się. W Waszyngtonie nie porywa się dzieci. Lizzie po prostu wyszła z domu i zabłądziła. Nic jej nie grozi.

Poszukiwania trwały już pięć godzin. Ściemniało się, gdy Jack skręcił na mało uczęszczaną drogę na obrzeżach miasta.

- Niedaleko od was jest stara stodoła, w której właściciel trzyma siano i zboże. Tam też warto sprawdzić.

Wysiadł i głośno krzyknął:

- Lizzie? Jesteś tu?

W stodole posuwał się powoli, świecąc latarką. Nagle stanął, gdyż w żłobie dostrzegł coś czerwonego.

- Patrz! Mamy zgubę.

- Dzięki Bogu - szepnęła Ellin.

Lizzie usiadła, przetarła zaspane oczy, zeskoczyła na klepisko i podbiegła ku nim. Minęła matkę, rzuciła się Jackowi w ramiona i objęła go za szyję. Jack otulił ją swoją kurtką.

- Och, wujku!

- Kruszyno, co się stało? Bardzo długo cię szukaliśmy. Martwiliśmy się o ciebie

- Zobaczyłam kotka i chciałam wziąć do domu, żeby nie zmarł. Uciekał, goniłam go i się zgubiłam. Ale wiedziałam, że wujek mnie znajdzie. - Przytuliła się jeszcze mocniej. - Dobrze, że wujek przyjechał.

- Ja też się cieszę.

Tulił do piersi dziecko, które szczerze pokochał, lecz niebawem je straci. Razem z ukochaną kobietą. Opanował się i odwołał poszukiwania, a potem podsunął radio Lizzie.

- Powiedz, że jesteś cała i zdrowa.

- Jestem cała i zdrowa - krzyknęła Lizzie. - Wujek Jack mnie znalazł.

Z siana wyjrzał kotek, przeciągnął się i ziewnął.

- O, mój kiciuś! Mogę go zabrać?

- Nawet musisz. - Jack wsunął szarobure stworzonko pod kurtkę, koło Lizzie. - No, wracamy do domu.

- Wujek pójdzie ze mną?

- Oczywiście - odparł, całując pachnący sianem policzek.

Ellin serce się ścisnęło, gdy jedynaczka ją ominęła, a poszukała pociechy u Jacka. Uczucie ulgi ustąpiło miejsca poczuciu winy i wyrzutom sumienia. Czy tak była zaabsorbowana zapewnianiem córce bytu, że nie dała najważniejszego? Czy czteroletnie dziecko już nauczyło się, że na matkę nie może liczyć? Żadna kariera nie była warta tego, by stracić zaufanie ukochanej jedynaczki.

Jack wpatrywał się w Ellin ponad złotowłosą główką. Jego oczy mówiły: „Kocham ciebie i Lizzie. Nie przeżyję rozstania z wami. Nie opuszczaj mnie”.

- Ja też cię kocham - szepnęła.

Była zdumiona wyznaniem, a jednocześnie zalała ją fala szczęścia, że nie będzie musiała sama iść przez życie. Nie może zaprzepaścić takiej wspaniałej szansy. Nie wolno odrzucać prawdziwej miłości.

Jack wyciągnął z kieszeni etui i podał Lizzie.

- Pokaż mamusi i zapytaj, czy będzie nosić.

Lizzie otworzyła etui.

- Mamo, patrz, pierścionek od wujka. Chcesz go, prawda?

- Tak.

Ellin uśmiechnęła się przez łzy. Jak dobrze, że nie musi jechać na kraj świata, żeby zapewnić córce rodzinę. Dlaczego wcześniej nie uświadomiła sobie, że miłość bardziej niż biologia czyni ojca? Jack jest opoką, na której Lizzie będzie się wspierała przez całe życie. Już teraz była ważniejsza dla niego niż dla rodzzonego ojca. Nie wypuszczając dziecka, Jack zębami ściągnął Ellin rękawiczkę, drżącą ręką ujął jej chłodną dłoń i wsunął pierścionek na palec.

Zrozumiała, że chciał go dać poprzedniego wieczoru, ale powstrzymał się. gdy oświadczyła, że wyjeżdża dla dobra Lizzie. Za to pokochała go jeszcze bardziej. Czemu była taka ślepa? Czemu tak późno zobaczyła to, co od dawna miała przed oczami? Ten delikatny nauczyciel udzielił jej najważniejszej życiowej lekcji.

- Pasuje - szepnęła ledwo dosłyszalnie.

- Oczywiście. - Pocałował ją czule. - Resztę życia poświęcę jednemu celowi: waszemu szczęściu.

Jack Madden zawsze dotrzymywał obietnicy.